Numer 6. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 5 Lutego 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Kombinator.

— Dlaczego płaczesz mały?

— Zgubiłem 10 groszy.

— Masz tu 10 groszy, ale przestań płakać... No czego dalej beczysz?

— Bo gdybym moich 10 groszy nie zgubił, to miałbym teraz dwadzieścia.



Miała szczęście.

— Musiała ci matka porządnie nakiwać, jakeś dziś na noc wróciła?

— Nie zauważyła, bo także jej nie było.

— A co ojciec?

— Ojciec był zadowolony, że matki w domu nie było, bo wrócił nad ranem.



Dobry służący.

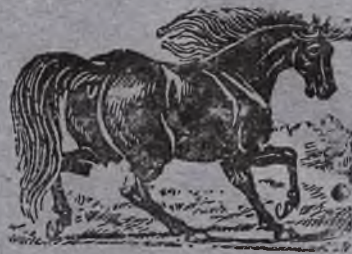
— Od kiedy jesteś u mnie, nie napastują mnie nieproszeni goście! Jakaż to przyczyna? — powiada pan do służącego.

— Umieściłem nad dzwonkiem tabliczkę z napisem: „Wierzyciele dzwonią dwa razy". Gdy słyszę dwukrotny dzwonek, nie otwieram nigdy.

Dobrze wytłumaczył.

Dwaj chłopcy widzą, jak koń płoszy się wobec przejeżdżającego automobilu. Młodszy pyta o przyczynę.

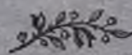
— Widzisz — powiada starszy tonem pouczającym. — Koń nawykł do widoku koni ciągnących wóz, boi się tedy wozu, który jedzie sam... I ty spłoszyłbyś się zapewne, widząc, że ulicą idą spodnie bez człowieka.



Dzielny sportowiec.

— Mąż pani pojechał samochodem naokoło Polski? I co pisze?

— Przez cały czas jego podróży miałam dwa listy: z komisarjatu policji w Pradze i ze szpitala



Zna się.

— Uważajno chłopcze! Na stole siedzą cztery muchy. Zabijesz jedną z nich. Ile zostanie?

— Jedna, ta zabita.

Numer 6. XI. Rok Kraków, dnia 5 Lutego 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Co to jest inteligencja?



Utarło się u nas zresztą błędne mniemanie, że do inteligencji zalicza się ten, kto skończył bodaj szkołę średnią i zajmuje jakieś stanowisko, na którem pracuje nie fizycznie, ale umysłowo. Przyzwyczailiśmy się więc zaliczać do inteligencji częstokroć ludzi, którzy z tą inteligencją nie mają nic wspólnego, albo przynajmniej bardzo mało. Natomiast tym inteligentom przeciwstawiamy lud wiejski, posiadający mniejszy zasób nauki, a częstokroć i biedniejszy, lud, który musi pracować ciężko fizycznie na kawałek chleba, a często na pracę umysłową nie posiada zupełnie czasu. Z pojęciem inteligencji bardzo wielu łączy ogładę zewnętrzną i znajomość form towarzyskich, a natomiast z pojęciem ludu wiejskiego nieokrzesanie i prostactwo.

Takie pojmowanie rzeczy jest zabytkiem dawnych czasów, gdy nauki i rozwój umysłowy były udziałem tylko pewnej garstki ludzi. Dziś podział taki jest niesłuszny i z gruntu fałszywy, bo nie ten jest inteligentem, który ukończył wyższe szkoły; nie ten, kto posiada znaczny majątek, ale ten, kto inteligentnie rozumie, myśli i czuje. Inteligencji nie tworzy świadectwo, choćby uniwersyteckie, lecz tworzy ją duchowa treść człowieka. I natomiast prostakiem nie jest ten, kto nie uczył się w szkołach, lecz ten, czyja dusza jest prostacka, niewrażliwa na drgnienia duszy ludzkiej i uczuć społeczeństwa. Nie trzeba chyba tłomaczyć, że szkoła nie tworzy inteligencji, a jedynie ułatwia jej nabycie.

Oto weźmy człowieka zamożnego, który z trudem przepchał gimnazjum a jeszcze z większym trudem ukończył uniwersytet, poczem osiadł na laurach, nie kształcąc swej duszy, nie rozjaśniając umysłu i porównajmy go z biedakiem, który ledwie w szkółce wiejskiej czytać i pisać się wyuczył, ale który później kształcił ciągle swój umysł przez czytanie, oświecał ducha przez rozmyślanie, doskonalił go przez ciągłe rozmowy z ludźmi o pełnej inteligencji i wkońcu własną pracą doszedł do tego, czego pierwszemu może nauka nie dała, a gdyby nawet dała, to on to zagrzebał w pyle zapomnienia. Chyba dwóch zdań nie będzie, że ten drugi zwany ogólnie prostaczkiem w rzeczywistości będzie więcej inteligentnym, aniżeli ów pierwszy, który mógłby nim być, ale tylko z własnej winy nim nie jest.

Do najinteligentniejszych ludzi trzeba przedewszystkiem zaliczyć tych ludzi, którzy słowem budzą społeczeństwo, przed jego oczyma odkrywają drogi wielkiej myśli, którzy dają mu poznać świat i jego wielkie skarby. To są prawdziwi bojownicy inteligencji, gdyż oni szczodrą ręką rozsypują nieocenione skarby duchowe.

Za wzór owej wielkiej inteligencji można postawić pewną wieśniaczkę, która w swej zapadłej wiosce, gdzie jeszcze nikomu nie śniło się o postawieniu szkółki, postanowiła dotąd pracować, póki wszyscy jej sąsiedzi, tak starzy jak i młodzi nie nauczą się czytać. Po wielu latach mozolnej pracy dokazała tego, a dziś wioska ta zalicza się do wsi najinteligentniejszych i do... najzamożniejszych. A kiedy na łożu śmierci żegnała ten świat, twarz jej promieniała jasnością od szczęścia nadmiernego.

A oto przykład drugi. Pewien biedny chłopiec wybrał się za zarobkiem w świat daleki. Zwiedził wiele wsi i miast, a wszędzie spotykał ciemnotę i prostactwo. Postanowił pracować nad podniesieniem inteligencji społeczeństwa. Poznał, że najłatwiej da się to uskutecznić przez rozpowszechnianie dobrych gazet i książek. Stał się więc ich roznosicielem i sprzedawaczem. Aby nie zaszczepiać w lud zgnilizny, czynił skrupulatny dobór i rozpowszechniał tylko rzeczy dobre. Setki i tysiące ludzi zawdzięczało jemu, że stali się gorliwymi czytelnikami rzeczy pożytecznych. Był on niejako misjonarzem oświaty, a przez to samo i inteligencji.

Takich to ludzi jak najwięcej, a zniknie prostactwo na świecie, a zapanuje prawdziwa inteligencja.

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Krwawe Nieszpory.

Było to za panowania Zygmunta I, którego naród kochał a postronni szanowali; nawet sułtan turecki, panujący podówczas Soliman, mądry i dzielny, starał się o przyjaźń króla polskiego, śląc doń listy, pełne szacunku. Kraj zdawał się zabezpieczonym od wojny tureckiej na czas jakiś, co jednak nie przeszkadzało Tatarom rabusiom trapić go najazdami swemi. Pohańcy ci, przez szerokie stepy Ukrainy i żyzne niwy Podola, zapuszczali zagony swe ku Wołyniowi, czasem aż na Litwę się zapędzali, uchodząc spiesznie za zbliżeniem się wojsk Rzeczypospolitej, unosząc łupy bogate, co gorsza zaś, goniąc przed sobą liczne gromady jeńców chrześcijańskich. Z tych to smutnych czasów snujemy opowieść naszą.

Był ciepły wieczór w miesiącu kwietniu. Łąki już bujną okryte zielenią, błyszczały od żółtych jaskrów, jak gdyby gwiazdkami usiane; na wierzbach rozpękały puszyste kotki, a lud wiejski zrywał z nich gałązki i związywał w pęki, bo właśnie nadchodziła Palmowa Niedziela i do kościółka na Nieszpory, dzwoniono przed jutrzejszem świętem. A wioska to była urocza. Niedaleko Tulczyna, wśród pól ornych tłustego czarnoziemu, nad rzeczką, jednym bokiem do lasku brzozowego i olchowego przypartą, rozsypała się wioseczka, zielonemi łąkami, jak wieńcem okolona. Chaty, jak stado wróbli szarych, to się u jaru tuliły, to nachylały ku rzeczce, której strumyk kryształowy szumiał jeszcze od wiosennej powodzi.

Właśnie słoneczko, za laskiem zachodząc, rzucało czerwony blask na pagórki, z przeciwnej strony, niby wałem, wioskę od wschodu okalające; nad łąkami wznosiły się wilgotne opary, jak siatka srebrzysta, a dzwon z cerkiewki brzmiał rozgłośnie, po przez pola i łąki. Już się ku cerkiewce tłoczy gromadka wieśniaków w kożuchach lub granatowych sukmanach, szerokim wełnianym pasem przewiązanych. Niewiasty w białych na głowie namitkach, dziewczęta w krasnych wstążkach i koszulach wzorzysto czerwoną i granatową bawełną wyszywanych, z powodu ciepłej pory, bez kożuszków nawet.

Opodal od wioski, z za białych brzózek, widnieje futor nad jarem, gdzie szumi bystry potoczek, sadkiem wiśniowym od północy zasłonięty domek z modrzewia, a opodal rojna pasieka lipami obsadzona. Na futorze tym mieszka szlachcic poczciwy, z dziadów i pradziadów na usługi kraju gotowy. Dziś tu osiadł spokojnie z żoną i trojgiem dzieci, które mu niby kwiatki na futorze wyrastały, rumiane i wesołe, ale za młodu sługiwał w pancernej chorągwi, aż dopóki mu pod Kłeckiem, nogi nie odrąbano. I stąd już pan Bohowityn niejednokrotnie uganiał się za Tatarzynem, choć ten jakoś szczęśliwie Kozińce omijał, ciągnąc szlakiem ku południowi, gdzie Latyczów i Winnica, lub bliżej Dniepru w stronę Kijowa.

Właśnie pan Bohowityn z żoną i dwoma synkami (bo mała Maryjka w kołysce jeszcze była), wybrał się na Nieszpor do cerkiewki. Już się do wrót zbliżają, a pani Bohowitynowa w białym na głowie czepcu i jupce ,barankiem krymskim podbitej, zaleca Hani, żwawej i dorodnej dziewoi, żeby dziecka dobrze w izbie pilnowała, już Janko ze Staśkiem, za ręce się wziąwszy, żywo naprzód pospieszają, gdy wtem... cóż to? Czy się ziemia zatrzęsła? Czy nagle wichura pędzi z za gór? Zadudniało coś od wschodu, dzikie okrzyki zagłuszyły dzwon cerkiewny i nagle, jak szarańcza, co chmurą spada na zielone pola, wali się jarem hurma Tatarów.

— Ałłachu! Ałłachu! — wrzeszczą, pędząc na koniach.

Twarze ich żółte i wykrzywione, oczy błyszczą jak węgle żarzące, zęby białe i ostre, jak u wilków, i oni też, jak stado wilków dzikich, rzucają się na gromadkę wiejską. W jednej chwili wieś stanęła w płomieniach, a pohańcy rozbiegłszy się w różne strony, spędzali bydło i lud w jedną, wielką gromadę.

Stary Bohowityn zrazu chciał się rzucić na ratunek, ale go żona powstrzymała, bo i cóż było jednemu robić z taką hałastrą? Namawiała, by się z dziećmi ukryć gdzie w piwnicach, ale nim to zrobić mogli, już się Tatarstwo rzuciło na futor. Stanął przy wrotach pan Bohowityn z nabitą rusznicą, za nim wierny Maciej, co go w żadnej nie opuszczał potrzebie, i naraz padły dwa strzały i dwóch Tatarów z koni na ziemię się stoczyło; ale setki innych zjawiło się, jak z pod ziemi. Wrzesk dziki napełnił powietrze, płomienie buchały i już pan Bohowityn tarzał się we krwi własnej, a siwa głowa Macieja, krwawą skąpana posoką, odleciała daleko na murawę.

W godzinę, z pięknej wioski już tylko zgliszcza zostały i resztki dopalających się głowni; cerkiewka złupiona, bez drzwi i okien, sterczała jak trupia głowa ogromna, dzwon nawet, co przed chwilą wzywał lud na Nieszpór, unieśli pohańcy, żeby go później rozbić i przetopić. A lud cały? Mężczyźni, co dzielniejsi, polegli, broniąc swoich; innych pognano, zarzuciwszy powróz na szyję, a z nimi kobiety i dzieci co starsze. Niemowlęta i starców pomordowała dzicz, lub powrzucała w palące się domostwa; mało kto zdołał uciec i schronić się gdzieś w podziemnych kryjówkach, skąd ludzie nazajutrz ostrożnie wychylali się, szukając ciał ukochanych swoich, albo wyciągając resztki pożywienia z pod zgliszcz i popiołów.

Szczęśliwsi jeszcze ci, którzy zginęli: Bóg im pewnie na tamtym świecie wynagrodzi męczeństwo tu poniesione, ale cóż się stać miało z tymi, których dzicz w niewolę pognała? Jakie męki, udręczenia i pokusy czkały ich jeszcze w tym srogim jasyrze! A ileżto tysięcy naszych braci tak niegdyś w jasyr pognano!...

II.

Na Jasnej Górze.

I znów się słońce ku zachodowi skłania, ale złociste jego promienie padają na klasztor, co to od wieków stoi na górze, J a s n ą nazwanej. I prawdziwie to Jasna Góra, takie dziś od niej biją płomienie, gdy cała w blasku różowym zachodu skąpana, z ziemi ku Niebu, wznosić się zdaje. A na górę tę, niby stado gołębi białych, wstępuje gromada pielgrzymów ze stron dalekich; starcy o siwych włosach i brodach, niewiasty, mężowie w sile wieku, dzieci nawet, a wszyscy na klęczkach, zwolna na szczyt góry wstępują, śpiewając hymn nasz stary: „Bogarodzico Dziewico“ itd. Z wieży dzwon się odzywa, organy brzmią na Nieszpór, a tysiące ludu, na twarz padając, łączą głosy swe ze śpiewem kapłana: „Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy na twarze“.

Odśpiewano Nieszpór, nabożeństwo się skończyło, i rozeszli się pielgrzymi, jedni szukając schronienia po gospodach, inni, aby pod gołem Niebem obozować, u stóp Góry i Matki Częstochowskiej. Ale w kaplicy Bożej Mątki, przy bladem światełku lampy srebrnej, cóż to za postać, krzyżem leżąc, ni się rusza, ni podnosi? Możnaby myśleć, że skamieniała, gdyby nie to, że usta szepczą słowa rzewnej modlitwy, a z piersi dobywa się czasem głośniejsze łkanie.

Tu znów ciemnowłosa głowa młodziana opada na płyty kamienne, a usta jego całują ziemię po kilkakroć i łzami ją skrapiają. Czy to pokutnik jaki, czy grzesznik, wzywający zmiłowania Bożego w tak późnej godzinie, gdy się już wszyscy na spoczynek rozchodzą? Oj, nie grzesznik to chyba, bo gdy powstał z ziemi, to jasnem okiem powiódł dokoła, czoło pogodne, a twarz choć ogorzała, jak bronz, dziwnie jakoś szlachetny i pociągający miała wyraz. Podniósł rękę do oczu, gdzie jeszcze łzy perliste błyszczały, otarł je i powoli ku drzwiom się zwrócił, jeszcze raz głowę skłaniając przed cudownym Bogarodzicy obrazem. I wzrok jego padł na dwie inne postaci, skulone w kącie kaplicy, i tak do siebie przytulone, że gdyby nie srebrny promyk lampki, co padł w tę stronę, dojrzećby ich nie można było.

— Mateńkô — szepnęła jedna z nich, młode dziewczę, której jasne, długie warkocze, mieniły się w niepewnym blasku lampki — mateńko złota, pójdziemy już, boś strudzona ciężko, a jutro, skoro świt, znów na Jasną Górę pospieszymy.

I chciała z ziemi dźwignąć staruszkę, której blade lica, łzami zalane, utkwione były w obraz Bogarodzicy z takim wyrazem bólu i błogości zarazem, że się zdawało, iż to jedna z owych świętych niewiast, co je na obrazach malują. Gdy córka do niej przemawiała, zwróciła się ku niej trochę, i usiłowała wyprostować zgięte kolana, powstać z ziemi, lecz siły ją opuściły i napowrót się pochyliła. Ale młodzieniec już klęczał przy niej i z pomocą jego i córki, na której ramieniu się oparła, zdołała staruszka powstać i powoli wszyscy troje wyszli z kaplicy, a stamtąd przez kościół ku drzwiom się skierowali. A czas był wielki, bo właśnie braciszek w białym habicie OO. Paulinów, z ogromnym kluczem, zabierał się ciężkie zamykać podwoje.

Gdy pielgrzymi nasi znaleźli się za progiem świątyni, już księżyc przyświecał i srebrzystem swem światłem oblewał całą górę i tulące się u stóp jej gromady podróżnych, co tu noclegu szukali; dalej w dolinie rozciągało się miasteczko Częstochowa, o niskich domkach, tu i ówdzie bez wielkiego ładu porozrzucanych.

— Jakże wy tam zajdziecie, mateńko? — odezwała się dzieweczka z niepokojem — wszak to spory kawał, a widzę, żeście już całkiem z sił opadli.

— Nic mi nie będzie, doniu! Pan Bóg dopomoże. Czyż to nie On zesłał tego zacnego młodziana, co się nad staruszką ulitował i tak mię wspiera, jakby syn matkę. Oj, miałabym ja, miała na kim wesprzeć się w starości i wdowieństwie mojem, gdyby nie to nieszczęście... — tu łzy mowę jej przerwały.

Młodzieniec ze współczuciem patrzał na biedną niewiastę. Oczy jej, głęboko wpadnięte, nosiły ślady łez wylanych, zmarszczki pofałdowały czoło, a włos biały prawie dobywał się z pod wdowiego czepca; jednak nie była jeszcze podeszłą w latach; nie wiek, ale raczej cierpienia powlokły smutną pomroką te ciemne i dotąd jeszcze piękne oczy, pomarszczyły blade lica, co niegdyś pewno świeżym rumieńcem i gładkością świeciły. Wielce z rysów podobną do matki jest hoża dzieweczka, która ją teraz szczupłem, lecz silnem ramieniem objąwszy, troskliwie z góry prowadzić się starała; oczy tylko miała modre, jak dwa bławatki, choć jeszcze od łez wilgotne i wdzięcznie niemi spojrzała na młodzieńca, który z drugiej strony wspierał chwiejące kroki jej matki.

— Dozwólcie, mateczko, odprawić się do gospody waszej — rzekł wreszcie głosem łagodnym — tylko wskażcie, którędy iść mamy, bo ja tu po raz pierwszy i nieświadom drogi.

— I my pierwszy raz na Jasnej Górze — odezwała się wdowa — ale mamy tu krewniaczkę, co nas gościnnie w dom swój przyjęła, a Maryjka upewniała, że do niej i po nocy trafi; cóż, doniu, czy nie zbłądziłaś?

— Nie, mateńko! Ot, tam — przy tych topolach, gdzie się jeszcze świeci, stoi biały dworek ciotki Wincentowej, a może i wujek idzie naprzeciw nam.

Jakoż niezadługo spotkali się pielgrzymi nasi z barczystym szlachcicem, o pełnej, ogorzałej twarzy, z wąsem szumiastym i podgoloną czupryną, na której butnie wsadzona była szafirowa z siwym barankiem rogatywka.

— A wracacie mi przecie, pani bratowo! — przemówił. — Sądziliśmy oboje z moją jejmością, żeście się tam gdzie zbłąkały i już do nas nie traficie.

— Wracamy, Bogu dzięki, z pomocą tego zacnego młodzieńca, co nas tu prowadzi, a widzi mi się, że bez jego poczciwego ramienia nie dowlokłabym się już z moją Maryjką.

— Bóg zapłać, waści! — rzekł pan Wincenty — ale dokądże sami idziecie i co z sobą robić zamyślacie?

— Bogiem a prawdą, nie wiem, gdzie się obrócić, bom tu obcy, ale przecież, gdzie tyle ludzi nocuje, to i ja znajdę przytulisko, choćby pod gołem Niebem.

— Co masz waść szukać noclegu, chodź lepiej do nas. Obcy nie jesteś nigdzie na swojej ziemi, a żeś szlachcic i poczciwy, to ci odrazu z oczu patrzy. Dziwnie tak mi się wydaje, jakbym cię gdzieś już spotkał. Ale teraz gadać nie miejsce i nie pora; ruszaj waść z nami, wyśpisz się na świeżem sianku w stodole, a jutro się rozgadamy na dobre.

I poszli już we czworo. We dworku palił się ogień na kominie, wesoło trzaskały jodłowe gałęzie, a przy nich grzała się wyborna polewka piwna; do tego na misie stał chleb i ser w kostkę krajany, a na patelni smażyła się jajecznica. Mięsa widać nie było, ale bo też to święta Wigilja do Matki Boskiej Zielnej, więc niktby go do ust nie wziął.

Pani Wincentowa, życzliwie gościa powitawszy, jak to u nas było w zwyczaju, z wieczerzą prędko się załatwiła, żeby podróżnych do snu ułożyć; wkrótce też wszystko pogrążone było w błogim spoczynku. Maryjkę na posłaniu własnem umieściła cioteczna jej Halka, czarnobrewa, żwawa jak iskra, jedynaczka państwa Wincentych. Poszeptały jeszcze trochę dziewczęta, położywszy się, jak to zwyczajem młodych, co nad sen i spoczynek gawędę przekładają, ale matki kazały im się uciszyć, ażeby jutro, skoro świt, być na nogach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przepowiednie.

Nie miejcie mi dziś za złe Czytelniczki moje
Tego, że będę z Wami otwarty i szczery,
Wymieniając tu Waszych pięknych imion roje,
Z których będę zgadywał wasze charaktery,
Wasze temperamenty, uczucia, skłonności. —
Będę jednak ostrożny, gdyby o miłości
Mówić przyszło, lub zdradzać jakie tajemnice —
Zamilczę, jako żywo! by na Wasze lice
Nie wywołać rumieńca wstydu, co jak róża
Płonie pod blaskiem słońca — piękne porównanie,
Prawda? Sądzę, że żadna się tu nie oburza
Na biednego poetę! otóż piękne Panie
Uważajcie — zaczynam od „A“ na początek,
Bo od „A“ wszystko bierze swego bytu wątek. —
Anielcia to nad wyraz dziewczątko kochane
O ile nosi włosy nie ondulowane,
Będzie z niej dobra żona, zacna gospodyni,
Dostatek będzie u niej w spichlerzu i skrzyni. —
Druga będzie z kolei wiecie kto? Agata. —
Jeśli włosy ma czarne, a niebieskie oczy —
Zdobędzie sobie mężczyzn odrazu pół świata
I fortuna ją szczęściem promiennem otoczy. —
Basia, hej mocny Boże, z tą radzę ostrożnie,
Bo to marsowa dusza i do bójki prędka.
Potrafi piec słowami jak kucharz na rożnie...
Niechże Wam nie przychodzi z nią zaczynać chętka!
Celinka poetyczna, spokojna i cicha —
Świat ten dla niej krainą marzenia i czarów,
Pije słodycz z każdego lilji kielicha,
Unika ludzkich spojrzeń, ich kłótni i swarów...
Cecylja ukocha wielkich mistrzów tony
I niejedną godzinę w samotności prześni —
Nieczuła na afekty mężczyzn, ni androny,
Bo ona się poślubi na zawsze swej pieśni...
Dorota, jeśli kiedy ksiądz jej złączy dłonie
Z jakim Wojtkiem czy Frankiem na ślubnym kobiercu,
Biedny ten mąż, bo ona włoży mu na skronie
Koronę z samych kolców, bowiem u niej w sercu
Nie znajdziesz sentymentów, ani łagodności,
A w języku jak wiecie nigdy niema kości! —
Ewa, Ewunia istny cud piękna natury!
Na jej widok człek gotów zerwać jabłko z drzewa —
Kiedy mówi to zda się, że śpiewają chóry;
Często jednak łzy roni, albo się znów gniewa...
Za męża jej przeznaczon ogromny fujara
Lecz o suknię, kapelusz zawsze się postara...
Felicja, ta ma w sobie coś z natury kota:
Chciwa jest świecidełek, brylantów i złota,
Nie lubi nigdy prawdy, bo ta w oczy kole
Dlatego ja zamilczeć już tej prawdy wolę...
Frania to jest przeważnie natura słoneczna,
Lubi taniec, muzykę i rój wielbicieli,
Jednak o swoją cnotę może być bezpieczna,
Bo się nią całe życie z nikim nie podzieli.
Genia dobra i zacna będzie cierpieć wiele
Dla męża obłudnika, co ją zdradzać będzie.
Lecz na starość ją czeka radość i wesele
A nawet mąż z fajeczką koło niej usiędzie...
Helenka już w dziewictwie zostanie zdradzona
Niewiele dla niej szczęścia na świecie zostało —
Jeno habit zakonny — krzyż biały u łona
I modlitwa napełni jej duszyczkę białą...
Irena jak sowizdrzał będzie śmiać się z ludzi,
Kpić, tumanić i gasić uczucia najszczersze. —
Z czasem się w niej iskierka poetycka zbudzi
I pisać będzie ludziom satyryczne wiersze...
Janina... tu już muszę chociaż trochę skłamać,
Bo to imię mej żony — jednak powiem przecie,
Że przez nią już myślałem nieraz pióra złamać
A dlaczego... nie powiem — sami się dowiecie...
Julja jest milcząca, prawdę jeno kocha
I tych, którzy hołdują tej prawdzie na świecie. —
Czasem bywa kapryśna i nad wiek swój płocha,
Cieszy się podarkami jako małe dziecię...
A chociaż do miłostek nie bardzo jest skora
Jednak sobie za męża weźmie profesora...
Karolcia — ciepłe piwo, nic ją nie obchodzi
Cały świat, praca tylko jej życie zajmuje,
Lubi przytem łakotki, to jej życie słodzi;
Domatorka najlepiej się u siebie czuje...
Ludwika oficerów lubi i żołnierzy,
Jazdę konną i sporty uprawia namiętnie,
Nikomu nie zaufa i sobie nie wierzy —
Lubi bajki i słucha ich nad wyraz chętnie...
Łucja chodzi często nocą nad wodami
I rozmawia z księżycem, co się do niej śmieje —
Stroi skronie liljami i nenufarami,
Idzie spać kiedy pierwszy kur we wsi zapieje.
Marja to wzór wielkiej cnoty i prawości
O duszy nieskalanej i anielskim wdzięku,
Nie znająca obłudy, perfidji i złości,
Nawet najgorszym ludziom patrzy w twarz bez lęku.
Michalina niedługo trwać będzie w panieństwie —
Za męża jej przeznaczon człek dobry z kościami,
Jednak szczęście to krótko trwać będzie w małżeństwie
Bo mąż jej umrze młodo idąc w cień z duchami. —
Natalja o duszy pełnej i rumiana,
Gnuśna przytem i lubi puchową pierzynę,
Kawusię, kiedy na niej kożuszek jak piana
I bułeczkę ze szynką, lub zimną gęsinę. —
Olga nie lubi książek i pusto ma w głowie
Buduje często domki z kart na stole;
Śmieje się bardzo wiele, gdy jej kto co powie —
Mimo to w życiu zagra bardzo wielką rolę...
Rozalja milutka jak różyczka polna. —
Słońce, kwiaty, zwierzęta, lasy i strumyki
Kocha, nikomu krzywdy wyrządzić niezdolna;
Z potraw nie znosi tylko pieprzu i papryki. —
Stasia, to trzpiot skończony — chłopców wywieść [w pole
Potrafi lepiej sama niż generał jaki —
Lubi bardzo aktorów i w takim zespole
Bawi się doskonale, choć są nawet braki. —
Teresa czerniutka — nie dla tego świata
Żyje ona, choć często śmiechy uchem łowi,
Radaby królewicza mieć... mijają lata
Cicho, nikt jej o swatach i słówka nie powie. —
Urszula ta zawładnie nad domem i braćmi,
Męża pod piętę weźmie! z każdym się rozprawi
Po rycersku, wymową Cycerona zaćmi,
A głosem więcej niczem Kiepura się wsławi...
Wanda anioł dobroci ze sercem gołębia,
Wody zimnej nie lubi, lecz ocet i wino —
Często chora jest w życiu — łatwo się zaziębia
A jednak gardzi piecem i ciepłą pierzyną...
Zofja, sam dźwięk tego boskiego imienia
Budzi w duszy rozkosze, wzniosłe ideały —
Każde słowo z jej ustek w kwiat róży się zmienia,
Pragnąłbym, by mnie Zoski wszystkie ukochały!

Robert Rydz.

WODOSPAD NIAGARY.

Każdy prawie człowiek, który nie widział Niagary, ma o niej zupełnie fałszywe pojęcie. Spoglądając na obrazy i fotografje Niagary, wyobrażamy sobie, że idąc spacerem wśród lasu, spostrzega się nagle olbrzymią masę wody, spadającą z wysokiej góry w dwóch ramionach. Nie, tak nie jest jednak.

Potęgę wodospadu Niagary poznaje się nie odrazu, lecz w drobnych dawkach. Trzeba sobie najpierw uzmysłowić, że wody rzeki Niagary wpadają w olbrzymią szczelinę czyli kanjon, więc zbliżając się do owej szczeliny spostrzegamy wodospad tylko z góry i musimy dojść do samego brzegu szczeliny, aby go ujrzeć, a w małem oddaleniu nie widać go wcale.

Nam chodzi przedewszystkiem o całość. Na szczęście nie potrzeba uciekać się do samolotu, ani balonu, wystarczy wejść na most otwarty w roku 1870, a przeznaczony dla wozów i pieszych podróżników. Most ten wisi na drucianych linach nad przepaścią kanjonu między dwoma drewnianemi wieżami, odległemi od siebie o 3505,5 m., i tak jest zgrabny, że zdaje się, iż lada podmuch wiatru go zmiecie. Na moście buja człowiek jak ptak w powietrzu i ten tylko na moście stanąć może, kto nie ma zawrotów głowy.

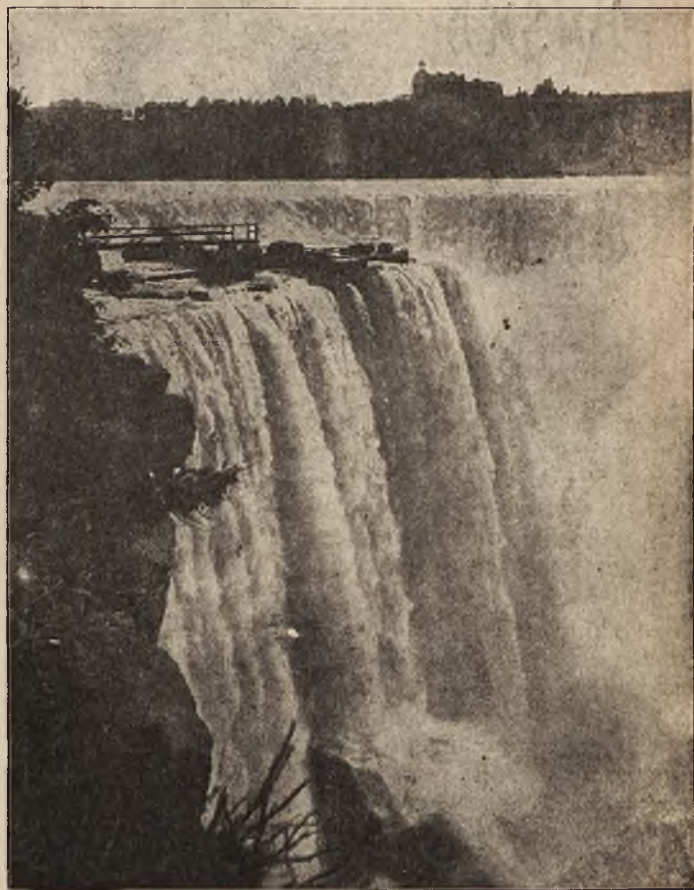
Przed oczami roztacza się przepiękny widok. Po lewej stronie brzeg amerykański, po prawej o wiele potężniejszy, kanadyjski w kształcie podkowy. Gdyby nie wysepka pośrodku, byłby wodospad na półtora kilometra szeroki.

W najbliższem sąsiedztwie spadów, płynie Niagara, głęboka, ale spokojna, bez objawów rozhukanej siły.

Niagara mająca 53 kilometry długości, łączy jezioro Erie z jeziorem Ontario, leżącem o 100 metrów poniżej wodospadu. Na tej właśnie przestrzeni leży wodospad. Już od Navyislandu woda rzeki szybciej biec zaczyna, tworzą się raz poraz małe katarakty, aż wreszcie wszystkie wody rzeki zwalają się w głąb z wysokości 48—50 metrów. To główny wodospad, mający dwa ramiona, to jest mniejszą kataraktę, zwaną amerykańskim wodospadem i kataraktę większą, zwaną wodospadem „Podkowy". O pięć kilometrów od wodospadu, wody rozpędzone natrafiają na skalne zapory i uderzywszy w nie, podnoszą się w górę do wysokości 50 metrów. Raz tedy daje rzeka wodospad, raz olbrzymie wzniesienie wału wodnego. Co piękniejsze nie wiadomo. Czy owo spadanie olbrzymiej masy wody, czy też nagłe wzniesienie się wody olbrzymim słupem.

W tej chwili przypatrzmy się tylko wodospadowi.

Wysiadając z pociągu przy stacji Niagara, mija się niewielkie miasteczko, gdzie już słychać huk wodospadu. Po lewej stronie poprzez drzewa parku widzi się szybko mknące fale rzeki, a w głębi kłębią się odmęty rozpylonych wód. Kroków kilka i stajemy nad przepaścią. Pochylamy się przez niski mur i w głąb sięgamy okiem. Tam w dole w czarnym odmęcie wre, syczy, pieni się, pryska i kotłuje, a przed sobą mamy olbrzymi wał wodny, który z nieopisaną szybkością stacza się w głąb przepaści.



Żaden, najbardziej nawet dokładny opis nie może dać wyobrażenia o wspaniałości zjawiska.

Najdokładniej jednak można przyjrzeć się z dołu, zstąpiwszy prawie aż w sam odmęt już spadłych wód, albo podpłynąwszy niemal w sam środek katarakty, na parostatku, obsługującym ciekawych i żądnych silnych wrażeń turystów.

Ażeby unaocznić Czytelnikom, jak wygląda wodospad, podajemy obok jego widok w chwili najspokojniejszej.

Myśli.

Nie odkrywaj przed ludźmi duszy twej do głębi:
Bo ich smutek twój — szczęście, ni grzeje — ni ziębi.

☆

Komu życie porządnie dało się we znaki:
Wie jak żyją, jak cierpią, jak giną biedaki.

☆

Tylko matce zaufać możesz bez zastrzeżeń:
Ona jedna nie zdradzi duszy twojej zwierzeń,

Albatros.

KAŚKA MYRDALONKA GADA:



I umarło się biedacyskowi, umarło na amen. Jegomość pokropili go święconą wodą, garstka ludzi odprowadziła na smentarz, zaśpiwali mu Wiecne odpocnienie i Anioł Pański, rzucił kużden po trzy grudki ziemi na trumnę i już było po całej paradzie. Ino parę ludzi, że to było chłodno i markotno, wstąpiło do karcmy, aby jesce raz przy kielisku pożałować nieboscyka.

A żałowali go ludzie nie latego, jakoby on był potrzebny na świecie, ino bez to, że tak marnie zesed z tego świata. A że marnie, to marnie, bo i młody był (powiadali starzy) i nijakiego scęścia nie uzywsy na świecie. Bo i dziwnie go los prześladował. Wiadomo przecie, że kuzden porzomny człowiek, to się w sam cas urodzi. A on biedacysko, już na samem pocątku spóźnił się o całe dwa lata, bo akurat w dwa lata przysed po śmierci swojego tatusia. Ale bidnemu to zawse wiatr wieje w ocy. Co prawda, to matka narzykała rzewliwie na smutne przeznacenie i już w pirwsych latach mały berbeć oberwał niejednego śturchańca za swą ślamazarność w swojem urodzeniu się, ale mu to nic nie pomogło.

Pomimo tych pośturkiwań matka kochała ga bardzo, a nawet, jak powiadały kumoski, nawet zabardzo. To też z tej wielkiej miłości rozwinęła go z pieluchów zapóźno, odstawiła od piersi zapóźno i latego chłopcysko, choć był już wielgaśny, nijak się na gicalach nie mógł utrzymać i zawse, jak kluską chlapnął o ziemię.

Jak dorósł lat sześciu, posłali go z gęsiami na łąkę. Cóż z tego! Jak kto ni ma scęścia, to go ni ma! Chciał się Jędrek krzynkę przy gęsiach przespać, a te niećciwiary, zamiast zjadać smacną trawkę, smyk w dworską skodę, a matka musiała potem odrabiać we dworze. I gdzież tu sprawiedliwość!

I tak było nieraz, ale wiele razy, i tak bez lat parę, ino z tą rożnicą, że najprzód były gęsi, potem cielęta, potem wieprzki, a jesce potem już dorosłe krowy. Zmieniały się stworzenia, ale dola Jędrkowa w nicem się nie zmieniła, bo za wszyćko on musiał cierpieć. Ale to jesce nic, gdyby to trzeba było cierpieć ino za bezrozumne bydlęta, ale nieraz trzeba było cierpieć dla ludzi i od ludzi. Wiadomo przecie, że chłopacysko zawse będzie chłopacyskiem. Jak się zbierze dwie albo więcej dzieuch, to se będą lalki z gałganków robiły, grzywki na głowie wykręcały i inse zabawne śpasy wyprawiały. A u chłopacysków w tem cała zabawa, jak jeden drugiemu może dać bęcaka za plecy, albo jakiego śturchańca w bok lebo gdzieindziej. Za kułaka można oddać kułaka i takiego oddania nieraz Jędrek próbował. Ale ma to bidny scęście?! Nim chłopcysko w garść popluł, nim się obrócił, to już jego napastnika ni śladu nie było.

Widziała matka, ze źle z jej Jędrusiem i tak dalej być nie może. Do wszyćkiego trza nauki, a on przecie jesce do skoły nie chodził. Gdy przysła więc jesień i inkse matki swych kaniacków do skoły prowadziły, tak tedy i ona wzięła dryblasa za rękę i poprowadziła do skoły. Prefesór spojrzał na draba i coś się mu nie uwidziało, bo pada:

— Matka! A siłaz on ma roków?

— Przed śtyrema laty — prosę łaski pana — minęło mu trzynaście — odparła matka Jędrkowa.

Ale prefesór, cy był na nią cięty, cy co, dość, że powiedział, co już jest na niego zapóźno, i Jędrka do skoły nie przyjął.

Jędrek już był na tyle rozgarnięty, że wiedział, iż do wszyćkiego trzeba nauki, a ino jedna jest taka rzec, która się bez nauki obejdzie. Zeniacka! Umyślił se więc, że się ożeni. A miał nawet z kim, bo u gróbarza była taka Marcysia, co się mu w sam raz widziała. Myśli se tedy, trza tam pójść za parobka, a potem jakoś to będzie. I posed.

Ale z zeniacką nie można było tak odrazu zacynać, bo Marcysia miała dopiro lat dwanaście, więc nie wiedziała, co, jak i na co jest. Zreśtą jak jej raz o zeniacce powiedział, to go opluła i uciekła. Poznał, że ona się jesce na żadnych dobrych rzecach nie zna i postanowił zacekać.

A temcasem wzięli go do wojska. Wybuchła wojna, posed na nią! Bił Moskali i jego bili, póki się nie skońcyło wszyćko i póki znowu nie wrócił do wsi. Idzie se i idzie, a bez drogę myśli, że teraz Marcysia już dorosła i będzie w sam raz dla niego. Jakoż stała ona właśnie przed chałpą z dzieckiem na ręku. Leci do niej, wita się i pada:

— Tagem się stęsknił Marcyś do ciebie, żem już ni mógł wytrzymać! A cyjze to ten pędrak?

— A cyjzeby — Marcysia mu na to — przecie nie znaleziony, ino mój!

— Jak to twój? — pyta Jędrek.

— No jakżeby? Łońskiego roku wydałam się, no i Poniezus dał...

Zaklął Jędrek pirsy raz w życiu, pognał do sośniny i powiada:

— Cekajcie besurcyje! Wybyście chcieli, żebym i umarł zapóźno, ale niedocekanie wase!!

Rozpasał pas, co mu portcęta podtrzymywał, zrobił kobylickę i hajt na gałąź. Już myślał, że się wszyćko skońcy, ale znowu bidnemu wiatr w ocy! Na jego niescęście przechodził tamtędy leśny, kozikiem przeciął pas i Jędrek rymnął na ziemię. Ocucili go, zanieśli do starej ciotki, ale i to było już zapóźno, bo spadając, rozbił sobie coś gdziesik i już nie przysed do siebie.

Trza było pozycyć gromnicy od sąsiadki, jegomość dał pomazanie, żeby się biedacysko długo nie męcył, baby posiadały koło niego i zacęły mu ućciwie radzić:

— Konaj Jędruś prędzej, bo to pożycana gromnica, to jakby się dużo zeświciło, toby Walentowa potem pomstowali.

Ale Jędrek nie słuchał! Jak się mu w nicem bez całe życie nie spiesyło, tak i teraz do śmierci nic go nie gnało. Ma ona cas, to na kużdego zaceka. Nie widziało się to jednak sąsiadkom, więc powiada którasik:

— A zmówcie no trzy Zdrowaśki, to i prędzej będzie.

Ale Jędrek i teraz się nie spiesył. Stękał ino od casu do casu, a gromnica jak się paliła, tak się paliła, a on leżał i stękał.

— O rany Boskie, Jędrek, bo mnie w palce piece — wołała ciotka, która trzymała gromnicę. — A miejże litość w sercu...

Ale Jędrek ni miał litości i konał sobie powolușku dalej, póki jesce raz nie westchnął... po raz ostatni!... Zapóźno jednak, bo z gromnicy nie było już śladu.

Tak to bidnemu zawse wiatr w ocy. On nawet i umiera zapóźno!

Łowy.

Wyszedł wyszedł pan myśliwy
Do ciemnej dąbrowy,
Aby odbyć wśród drzew starych
Swe codzienne łowy.

Idzie, idzie ciemnym borem
I szuka zwierzyny..
Lecz bez skutku, lecz daremnie
Mkną szybko godziny.

Schodził, schodził kawał duży
Cienistego lasu,
Stracił wiele na szukaniu,
Bardzo wiele czasu

I powraca zatroskany
W cztery puste ściany,
Zmęczon srodze długą drogą,
Cały potem zlany,

A gdy wracał do swej chaty,
Z jednego okienka
Wyglądnęła do myśliwca
Drwunożna sarenka

— Hej sarenko, hej panienko,
Ratuj moją duszę
Toć ja przecież dziś cokolwiek
Upolować muszę!

— Cóż ja waści dopomogę,
Ja, biedna, dziewczyna?
Wszak nic w chatce mej ubogiej
Lecz w lesie zwierzyna!

Z słów dziewczyny poznał strzelec
Że mu będzie rada,
Że powita w swojej chatce
Bliskiego sąsiada.

Więc w jej progi wstąpił śmiało
(Ot, męska pokusa!
I bez trudu upolował...
Słodkiego całusa!

Antoni Socha.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

I.

Miras.

Sędzia powstał, splótł ramiona i myślał; po kątach ust przebiegał mu uśmiech zadowolenia od którego błyszczały oczy. A przytem drgająca lekko powłóczysta toga świadczyła, że prócz tryumfu trzęsie nim wzruszenie, jak tym, co ni ztąd ni zowąd widzi się u szczytu swych pragnień. Lecz po chwili zapanował nad sobą i przywoławszy niewolników kazał nieść zemdlonego, sam zaś, z założonemi w tył rękami, podążał zwolna za nimi, udzielając krótkich wskazówek: Na lewo... na prawo... tu!

Z półciemnego korytarza weszło się nagle w obszerną komnatę, do której z góry wpadał oślepiający blask słonecznego światła, załamującego się w alabastrowych, kręconych filarach i błyszczącego w strudze wodotrysku. Filary biegły w około; z niektórych zwisał powój o białym kwieciu, lub krzew winny, gdzieniegdzie tarzającej się po mozajkowej posadzce usłanej chodnikami.

Pozatem nie było tam malowideł ani posągów, stanowiących w przeciętnym domu rzymskim najpiękniejszą ozdobę; natomiast roiło się od kwiatów w etruskich wazonach i od krzewów wonnych oleandrów tworzących tam alejkę. Zemdlonego ułożono na posłaniu ze skór lamparcich, w miejscu ocienionym grubą kotarą, dokąd jednak dochodził miły chłódek z wodotrysku.

Po odejściu niewolników, rozsunął sędzia purpurowe welarjum i zwolna przeszedł do przyległej komnaty. Co chwilę wstrząsał nim jakiś dreszcz rozkoszny, a prócz tego zdawało mu się, że z chwilą gdy nad zemdlonym zapadła kotara, ubyło mu ze dwadzieścia lat. Czuł żywszy obieg krwi, zdwojony przypływ energji, a z nią ów zapał opanowujący ludzi tego wieku tylko w nader szczęśliwych okolicznościach.

Podszedł kilka kroków ku środkowi, gdzie na tyryjskim dywanie przerabiała niedbale figury jakiegoś egipskiego tańca, wychowanica jego Miras. Jeszcze przed laty piętnastu przywiózł on ją z Egiptu za wolą umierającego jej ojca, bogatego handlarza purpury, z którym od lat wielu zażyłe miał stosunki — i przyjął ją za córkę, biorąc zarazem w depozyt ogromny majątek, z którego czerpał bez rachunku. Chcąc ukryć ślady niszczonej fortuny, otoczył ją zbytkiem, kształcił przez czas jakiś w Grecji, a potem w Rzymie; w końcu wybudował dla niej na gruntach prawego brzegu jeziora Genezareth letni pałacyk i nazwał go „Villa Miras“. Wszystko to, pochłonęło zaledwie cząstkę olbrzymiego majątku chociaż w rękach sprawiedliwego sędziego, stopniał on do trzech części. Zrozumiawszy, że kiedyś mogłaby rzecz wypłynąć na wierzch, skorzystał ze sposobności zwalczania idei Chrystusa, kiedyto organizować poczęto ludzi, mających wpływ nad ludem, aby za ich pomocą podbuntować tłumy i zniszczyć znienawidzonego Proroka. Skoro więc idea Chrystusa coraz szybciej krzewić się poczęła, władze ze Syonu, przeczuwając własny upadek, rzucały hojnie stanowiska, zaszczyty i nierzadko majątki tym, którzy w jakikolwiekbądź formie przeszkodzić umieli szerzeniu się „szkodliwej idei“. Oko Rady padło wówczas i na Łazarza, człowieka popularnego i ulubień-

ca ludu, a że był zaprzyjaźniony z Prorokiem, postanowiono za wszelką cenę zdobyć go dla siebie. Ofiarowano mu więc pod pozorem kupna uprzywilejowaną winnicę millońską, tudzież znakomite stanowisko na Syonie, zapewniając ogromne dochody, a także na wniosek Zarabatela, który widział w tem ratunek dla siebie, przeznaczono mu piękną Miras za małżonkę. Od tego czasu, miewał sędzia częste pogawędki z Egipcjanką, w których starał się nakłonić ją do przyjęcia woli Sanhedrynu, umiejąc przytem olśnić lekką tę naturę i ostatecznie zdobyć.



Zwolna podszedł sędzia ku zasłonie.

A zdobył ją o tyle, że piękna Egipcjanka zainteresowała się młodym mistrzem i często przechodząc obok portyku Piłata, gdzie on pracował, bacznie mu się przyglądała. Atoli budowniczy odrzucił wszelkie propozycje Annasza, więc rzucono nań pozorną klątwę w tej nadziei, że prędzej czy później, odda się na usługi Rady. Omdlenie, oraz rozpaczliwy wyraz twarzy wziął sędzia za grozę klątwy i postanowił ostrożnie kuć rzecz za gorąca. Błogosławiąc przeto tak pomyślną okoliczność, zbliżył się ku tańczącej Miras.

Była to dziewczyna urodna, o śniadawej, pięknej twarzy typowej Egipcjanki, postaci gibkiej i wysmukłej. Oczy ciemne, odzwierciadlające w sobie awanturnicze skłonności, przymglone nieco chwilową nudą, biegały po kobiercu, wzorowanym kwiatami granatu i śledziły w półświadomie zgrabne podskoki drobnych nóżek tudzież wir różowego welonu, zakreślającego fantastyczne kręgi w takt owego tańca.

Promieniejący triumfem, złożywszy usta w uśmiech pełen nadziei, sędzia rzekł:

— Oto weszło słońce nademną, a dzień kiedym postanowił o tobie, błogosławionym niechaj będzie!

— Alboż dopełniłeś przyrzeczenia? — zapytała Miras.

— Zapewne. Zawsze wierzyłem, że dzień ten nadejdzie i wreszcie dziś mogę ci oznajmić, że w sidła nasze wpadł już ulubieniec Ponckiego Piłata.

— Budowniczy Łazarz?

— Właśnie.

Lekki rumieniec osiadł na policzkach dziewczyny.

— I co, wtrąciłeś go w podziemia?

— Nie, albowiem kto tobie za małżonka przeznaczony, nie może przechodzić hańby. Chodzi tylko o to, abyś ze względu na bardzo pomyślną okoliczność nie zaspała sprawy.

— O bądź spokojny, wszak budowniczy to piękny młodzieniec.

— A ty będziesz przy nim jak zorza co złoci szczyty Syonu. Nieraz we śnie widziałem was razem wielkich, którym hołdowano... więc pracuj, bo warto go zdobyć choćby dlatego, że stanie kiedyś na czole narodu i dlatego jeszcze, że razem z urzędem i przywilejami rozporządzać będzie ogromną fortuną!

W oczach Egipcjanki okazało się zadowolenie, oraz lekka duma. Mimowoli spojrzała w srebrne zwierciadło, odbijające wiernie jej postać i przyszło jej na myśl, że piękniejszej kobiety świat jeszcze nie wydał, i nie wydał jeszcze mężczyzny równie pięknego jak budowniczy, któremu tak świetną przyszłość rokują. Sędzia zaś mówił sobie w duchu, że sławna z piękności córka Heroda, wyglądałaby przy niej jak niewolnica.

— A gdzie jest budowniczy? — zapytała Miras nagle.

Bądź gotowa na jego przyjęcie choćby i w tej chwili, ale miej także siłę i wolę dla pokonania trudności jakie się nastręczą. Jestto bowiem zachłanny stronnik Nazarejczyka i człowiek hardy na punkcie swych zasad; a nie wystarczy zdobyć go wyłącznie dla siebie, ale także dla dobra narodu. Powiem więcej: On musi stać się wrogiem Chrystusa — oto warunek!

— Jakom ci przyrzekła, wypełnię wszystko.

— A gdyby on był chory? Gdyby go przedtem należało pielęgnować może przez czas dłuższy, nie sypiać po nocach, zali nie okażesz wtedy zniechęcenia?

Egipcjanka namyślała się chwilę, poczem odrzekła stanowczo: Wytrwam!

— Pamiętaj dziecię moje, że sprawy Zakonu to rzecz święta, a ilekroć ogarnie cię niechęć, pomyśl zawsze, że walczysz dla dobra ogółu, a dla zguby buntownika, że w końcu czeka cię nagroda godna trudów. Cóż więcej ci powiem... chyba to jeszcze, byś go wywiodła do Villi Miras pod pozorem, że tu ścigać go będzie klątwa, a zaiste przy naszej pomocy zdobędziesz go dla siebie i dla naszej sprawy.

Wypowiedziawszy jeszcze kilka szczegółów, nakazał milczenie i pociągnął ją za sobą. W duszy Egipcjanki zwolna rodziła się gorączka oczekiwania i przejmująca ją na wskroś ciekawość, pod wpływem której, chętnie byłaby się zapytała dokąd idzie i jaki będzie rodzaj spotkania, gdyby nie przestrzegawcze spojrzenie sędziego i surowy wyraz jego ogorzałej twarzy.

Przeszli do przyległej komnaty... Powiew wiatru przepływającego górą, poruszał zlekka gałązkami oleandrów; czasem zabrzęczała zbłąkana pszczoła, lub głośniej zatrzepotał skrzydłami przelatujący ptak; pozatem dzwoniła cisza na tle szemrzącej fontanny i lekkiego stukotu sandałów.

Zwolna podszedł sędzia ku zasłonie, nadsłuchiwał chwilę, poczem ostrożnie począł ją rozsuwać — na zemdlonego padła struga światła dziennego i równocześnie Miras pobladła.

Spodziewała się wprawdzie ujrzeć budowniczego osłabionego przejściową chorobą, niechby nawet cięższą, ale nigdy tak wynędzniałego, ledwie żywego. I nagle doznała uczucia nieokreślonej trwogi, a zarazem zrodziła się w niej chęć ucieczki, którą gwałtem tylko stłumiła.

Widział to sędzia, jednakże z lekkim uśmiechem czekał rychło oswoi ją ten widok, dość zresztą przykry i dla niego samego.

Jakoż po dłuższej chwili zawstydziła się sama w sobie, że uległa dziecięcej trwodze, a łącząc uśmiech z lekkim zmieszaniem szepnęła: Przyślij mi lekarza... Nigdy może nie był Zarabatel tak szczęśliwy jak teraz usłyszawszy taką odpowiedź, więc porwał ją w ramiona nie szczędząc pocałunków, ni słów najwyższego zachwytu... W końcu poszedł spełnić życzenie swej córki. Po drodze oglądał się za siebie, tak samo jak to czynić zwykł obdarzony dzieciak; oglądał się nawet wtedy, gdy niepewnie przeszła zasłonę i znikła wśród oleandrów... Potem zwolna mierzył korytarze, ręce w tył założywszy...

Niebawem przybył lekarz...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zima na wsi.

Gwiazdzisty strop nieba unosi się nad śpiącą spokojnie wioską. Z małych okienek chłopskich chałup nie płynie złoty promień światła i nie kładzie się jasną smugą na okrytą śniegiem drogę. Wije się ona między temi rozsiadłemi po jej brzegach chatami — i odtąd razem z mroźną zimą przeleciała po niej jak smętne widmo, mściwa i okrutna „bieda“ — zaglądając ciekawie pod każdą ubogą strzechę, posmutniała nieboga nad wyraz. Wierzby, co otaczają ją i ujmują w swe ramiona, za całe współczucie umieją się tylko chylić żałośnie pod zimowym powiewiem grudniowego wichru, — umieją tylk opłakać południową godziną, gdy szron, okrywający gałązki, w łzy zaczyna się zamieniać, muskany promykiem słońca...

Po samotnej tej, drzewami obrosłej drodze, rzadko przesuwa się jaki przechodzień. Nie rozwesela jej echo swawolnej piosenki, — z żadnego domostwa nie płynie miłosny odgłos godów weselnych. W karczmie u Moszka skrzypki i basetla pobrzękują wprawdzie leniwo, ale choć ludzi sporo w izbie, mało kto „hula“.

Jednakże ci z mieszkańców wioski, którzy przepędzają godzin kilka w karczmie na przysłuchiwaniu się muzyce, należą do najzamożniejszych.

Mimo niezbyt spóźnionej pory, milcząco i ciemno we wszystkich chatach.

Gwiaździsta noc rzuca blade cienie i półcienie na śpiące domostwa. Nagle, przerywając ogólną ciszę, skrzypnęły lekko drzwi na uboczu stojącej chaty i wysunęła się z nich postać jakaś, otulona w chustkę — bosa.

Przymknęła drzwi i rozgląda się wokoło.

Cicho. Noc w całym swym majestacie, odziana gwiaździstym płaszczem, roztacza przed nią piękności swoje. Kobieta patrzy przez chwilę w niebo, zarzuca jakieś rolnicze narzędzie na ramię i spiesznie się oddala.

Zimno przejmuje ją dokuczliwe; śnieg, zdaje się parzyć bose jej nogi. Ona biegnie.

Czasem się ogląda i biegnie znów dalej.

Po jakimś czasie staje tuż koło sztachet, okalających dworski ogród. Musi być młodą i zwinną, gdyż bez wszelkiej trudności przeskakuje zaporę i za chwilę jest już przy zabudowaniach. Rozgląda się wkoło, teraz trwożliwiej jeszcze i z większą ostrożnością stąpa po zmarzłym śniegu. Boi się własnego cienia, a cóż dopiero psów, które mogą ją zobaczyć i szczekaniem odkryć jej obecność. Staje wreszcie na podwórzu, przy jakiejś wyniosłości niewielkiej, mającej kształt kopca, w jaki zwykle dla ochrony od mrozu gospodarze chowają ziemniaki. Rzuca swój koszyk na ziemię, bierze w ręce motykę i gorączkowym ruchem odgrzebywać zaczyna zmarzłą ziemię.

Myśl o dwóch twarzach, wybladłych z zimna i głodu, przyspiesza jej pracę.

Z początku szło jej mozolnie, potem łatwiej. W ciągu kwadransa natrafiła żelazem na słomę, niebawem ukazały się ziemniaki.

Uradowana rzuca motykę i pełnemi garściami nabiera je do obok stojącego koszyka. Gdy napełnił się po brzegi, przykrywa otwór nieco ziemią i oddala się pospiesznie.

Jedyną jej myślą teraz: aby się znaleźć wolną, za sztachetami dworskiemi. Ponieważ kosz dość ciężki, stawia go na lewem ramieniu, a rozglądając się na wszystkie strony, idzie napowrót tą samą drogą.

Mimo mrozu, kropelki potu występują na jej czoło i skronie, śnieg chrupie niemiłosiernie pod stopami, a ona odgłosu się tego lęka.

Nagle zaszeleściało coś koło stodoły. Wielki czarny podwórzowy brytan wybiegł od strony dworu i leciał wprost na nią. Kobietę przejmuje strach śmiertelny, serce tłucze się jej w piersiach, całe ciało wstrząsa dreszcz trwogi.

Pies zaczyna szczekać. Wiedząc jak się wabi, przywołuje go do siebie głosem, w którym drży ton przytłumionego strachu.

— Neron! Neron! Tu, do nogi!

Pies głos poznaje, umilka i podchodzi do niej. Sądzi się uratowaną. Zbiera napowrót siły, zarzuca kosz na ramiona, i biegnie, jak tylko może najszybciej w stronę sztachet.

W tem słyszy za sobą inne stąpanie, prędkie, miarowe — dłonie jakieś obejmują ją zdradziecko z tyłu, ściskając jak kleszcze i powalają na ziemię.

Ziemniaki rozsypują się w śniegu, pies zaczyna nanowo szczekać — kobieta, oszołomiona, nieprzytomna prawie, powtarza coraz:

— O Jezu! O Jezu!

Nad nią pochyla się wąsata twarz stróża nocnego, chcącego ją rozpoznać w ciemności.

Silne dłonie okładają ją razami, podczas gdy głos ochrypły nie szczędzi najstraszniejszych przezwisk.

Podnosi się z ziemi i bezbronna, nie mówiąc już ani słowa, idzie w stronę, w którą popycha ją ręka stróża. Zdaje się nie wiedzieć, co się koło niej dzieje, nie stawia najlżejszego oporu.

Z czeladnej izby, zwabionych ujadaniem psa, wysuwa się ciekawych głów kilka.

Stróż z triumfującą miną staje przed drzwiami izby, z której buchający płomnień ogniska oświetla dostatecznie twarz młodej kobiety.

Naprzeciw tych złotych blasków, obejmujących ją dziwnie miłem i z dawna już niedoznawanem uczuciem ciepła, naprzeciw gromady tych spojrzeń ludzkich, wykrzykników i zapytań — stoi ona ze spuszczoną głową, z czołem okrytem wilgotną rosą i z trwogą drżącemi wargami.

Pierwsza poznała ją dziewczyna od kuchni.

— Boże, to Walentowa! — odzywa się głosem podniesionym.

— Magda! Walentowa! a jakże! — posypują się potwierdzenia z stron różnych.

Cała służba zbiega się na oglądanie złodziejki. Gospodyni, kucharka, chłopiec od kredensu, dziewczyny pokojowe, nawet Ferdek — lokaj — wszystko to wytrzeszcza oczy, mieszając głos do ogólnej wrzawy.

W kuchni odezwał się dzwonek.

Ferdek zarzuca serwetę na ramię i biegnie z półmiskiem, nagradzając pośpiechem chwilowe spóźnienie.

— Już drugi raz dzwonię — odzywa się pan z niezadowoleniem. Nie słyszałeś? Moglibyście się też uciszyć.

— Proszę pana — tłumaczy się Jan — a to temu, że stróż przywiódł Walentową, co kradła ziemniaki z dworskich kopców. Jest w kuchni.

— Co on mówi, Adasiu? nic nie rozumiem — odzywa się głos kobiecy, łagodny i miękki, z końca stołu.

Zapytany skinął ręką, jakby o tem mówić nie chciał i zwolna przechadzać się zaczął po pokoju. Służący wyszedł.

— Jaka Walentowa, Adasiu? czy to z naszej wsi? skąd? z Wierz...? — rzuca pytanie.

Oczy jej wodzą za młodym człowiekiem, pragnąc odrazu uzyskać odpowiedź na wszystkie pytania.

— Zwykła historja, Klaruniu, — odzywa się do niej mąż po chwili. — Jakaś kobieta przyszła na podwórze podbierać ziemniaki i złapali ją.

— Przyszła kraść? — pytała dalej.

— Naturalnie. I nie udało się jej.

— I to się często zdarza?

— Bardzo często; zwłaszcza tej zimy.

— I dlaczego? — wyrywa się z ust kobiety, a oczy nabierają jakiegoś smutnego, pytającego wyrazu.

— Dlaczego? — powtarza mąż z uśmiechem; — o moje drogie, niedoświadczone dziecię! Jak to zaraz znać, że masz lat ośmnaście i że dopiero od tygodnia jesteś tu... w Wie... u mnie. — Nieprawdaż, że dopiero od tygodnia? — powtarza, ujmując jej dłoń ręką, podczas gdy drugą okala jej kibić z miłością.

Nie opiera się pieszczotom, ale uśmiech w tej chwili dalekim jest od warg jej różowych.

Na czole pierwszy raz może osiada myśl jakaś, smętna i powagi pełna: współczucie dla cierpiących.

— Mówisz Adasiu, że roku tego więcej cię okradają niż lat poprzednich?

— A tak, bezwątpienia.

— Jakaż tego przyczyna?

— Wogóle przyczyną jest większa bieda! tegoroczny nieurodzaj!

— Czy znałeś tę kobietę, tę Walentową? — pyta dalej.

— Nie przypominam sobie; ale ją każę do siebie przywołać. Trzeba z nią skończyć.

— Ale w jaki sposób, Adasiu?

— Zaskarżę do wójta.

— A potem co?

— Potem pójdzie do kozy, odsiedzi należną karę i będzie wolna. Innego sposobu niema.

Pociągnął za dzwonek, rozkazując przybyłemu służącemu, aby wprowadził winowajczynię.

Klara podeszła do męża. Kładzie mu obie dłonie na ramieniu, promiennemi oczyma wpatrując się w twarz młodego człowieka.

— Mój Adasiu! — odzywa się błagalnie. — Wszak nie będziesz sądził zbyt surowo tej kobiety. Ona może pierwszy raz ukradła... mówisz, że bieda na wsi... bądź litościwym!

—O! moje ty, złotego serca dziecię! dobrze, już dobrze. Stanie się według twej woli.

Ucałował ręce żony i wyszedł.

W kancelarji, o drzwi oparta, stoi skulona postać kobieca, z trwogą patrząc przed siebie.

Młoda jest i ładna. Bieda i głód, w ostatnich czasach ją trapiące, zniszczyły ją bardzo.

Adam, przystępując do niej, rzuca kilka słów pytania. Kobieta głosem błagalnym, w którym czuć łzy, odpowiada:

— Wielmożny Panie! Taka u nas bieda! taka bieda... lichą komornicą jestem: wdową. W izbie dwoje dzieciaków, które wołają chleba. A tu ani okruszyny mąki, ani krupki kaszy, ani paliwa, nic, nic, prócz tego, co mam na sobie. Ostatniego ziemniaka zjedliśmy wczora. Głód. Napadło mnie złe i poszłam do dworskich ziemniaków kopać. Mój Panie! Miej litość nademną! Nim nijaka złodziejka, ino tak z głodu zmuszoną byłam... ino z głodu!

Adam mięknie pod słowami żebrzącej wieśniaczki; czuje, że wieje z nich prawda. Z jej dużych lśniących oczu, widać, że głodna.

Ulec jednak odrazu nie chce.

— Ja was muszę zaskarżyć do wójta — straszy.

— Tylko nie teraz, póki zima, wielmożny panie. Po żniwach odsiedzę. Mocny Jezu! przy kimżeby został ten drobiazg?

Para promiennych źrenic, wychylających się zza portjery, zdaje się do niego mówić:

— Adasiu, przebacz jej! ona biedna!

— Moja Walentowa — odzywa się Adam — niechże to będzie raz ostatni. Do wójta was nie zaskarżę, do kozy nie pójdziecie. Mówicie, że u was bieda? aby nie było pokusy, dam wam korzec żyta i korzec jęczmienia na odrobek wiosenny. Przyjdźcież po nie jutro.

Kobieta ramionami obejmuje nogi pana, całuje go rozpromieniona po rękach. Powoli cofa się z pokoju nieśmiało, uszczęśliwiona z daru i uzyskanej wolności.

W przedsionku zatrzymuje ją jakaś smukła postać, pełna piękności i dobroci. Biała ręka Klaruni rzuca jej w chustkę kęs białego chleba, do którego śmieją się oczy kobiety.

— O! moja Pani! Moja złocista pani!

Wybiega ze dworu i co tchu jej starczy, biegnie z powrotem do wsi. Cicho otwiera drzwi chaty, idzie po omacku do łóżka, stojącego w rogu. Ostatnią świeczką łojową rozjaśnia ciemności; zdejmuje chustkę, wyjmuje z niej chleb i łamie na troje.

Dzieci drzemiące na słomie, zbudzone światłem, otwierają oczy, powtarzając owe utrapione, które ją od wczoraj dręczy:

— Jeść! jeść! jeść!

Starszy Maciuś wyciera powieki kułakiem i na głos płacze. Młodsza Marysia wtóruje mu, kładąc rozczochraną płową głowę na piersi matczynej.

— Cicho raki! nie beczeć! — uspokaja Walentowa, w drobne zziębnięte rączyny wtykając po kawałku chleba. Dzieci milkną i z chciwością zaspokajają głodu pragnienie. Uśmierzywszy pierwszy apetyt, przymykają znowu senne powieki. Blade, zamorusane ich buzie przy migotliwem świetle łojówki lśnią drżącymi u rzęs łzami. Świeczka dogasa. Kobieta otula je chustką i kładzie się na resztę pozostałej słomy.

Nad światem, ujętym w nocne cienie — unosi się anioł ulgi, nadziei i pokoju. Podchodzi do chat wieśniaczych, zsyłając w złotych snach pokrzepienie.

Ciężka głowa Walentowej opada na krawędź łóżka, w marzeniu zdaje jej się, że jasna postać przed chwilą widziana, zaopatruje jej próżny sąsiek w żywność obfitą; uśmiecha się do ponętnie wyłaniającej się z wózka białej mąki, krup jęczmiennych i kawał słoniny. Marysia i Maciuś przytulają rozczochrane blond główki do piersi matczynej. Na dworze zima, złote gwiazdy mrugają figlarnie z góry — a im się zdaje, że izba rozświetlona wesoło płonącem ogniskiem... że przy niej matka warzy wieczerzę.

Biedne rojenia dziecięce! Spłyniecież wy w realnych kształtach, aby przyodziać tyle drobnych ciał, nakarmić tyle głodnych ust?

Na świecie tak wiele serc!... Czyż wszystkie litością pełne?...

Franciszek Lewandowski.



Poradnik gospodarczy.

Należy dokończyć roboty zaczęte w styczniu, gdyż zbliża się koniec zimy 23 stycznia Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka.

Skowronek to ptaszek wiosenny, który rolnikowi mile przyśpiewuje przy robocie w polu.

Kończyć młócenie zboża, przejrzeć zapasy siana i słomy, czy wystarczą do wiosny, obejrzeć kopce, czy nie zaciekają. Narzędzia gospodarcze ponaprawiać i dokupić co brakuje.

Nasienie do siewu zawczasu przygotować.

Korzystać z dobrych dróg i kończyć wywożenie nawozu, który jeżeli śniegu mało, należy zaraz rozrzucić po polu.

Na oziminach i polach nie dopuszczać do zbierania się wody z roztopów, w tym celu przekopywać rowy i spuszczać wodę.

Gdy śnieg zejdzie i rola obeschnie tak, iż da się bronować, można pod ziemniaki owies zasiewać i przybronowywać nawozy sztuczne np. kainit.

Na łąkach i pastwiskach o ile to nie zrobiono w jesieni, należy wybronować mech i rozrzucić kretowiny.

Myszy tępić w polu wszelkimi sposobami. W sadzie przygotowywać zrazy do uszlachetniania owoców ,które ciąć należy od strony południowej, układać w paczki i przechowywać w piwnicy w miejscu ciemnem w piasku od strony północnej.

Czyścić drzewa owocowe, skrobaczką przecinać gałęzie krzyżujące się i usuwać suche, pnie bielić wapnem pomieszanym z gliną w stosunku 2 części wapna a 1 część gliny i trochę krowieńca. Niszczyć jajka i oprzędy z gniazda gąsienic, a znalezione należy palić.

Należy przygotować posadzonym drzewkom paliki i takowe wywiązać, aby nie kaleczyły gałązek drzew szlachetnych.

W okolicach, gdzie zbytnio wczesne jarzyny zapewnione, należy przygotować inspekta.

Wsiewać rzodkiewkę i t. p., wczesną kapustę i kalafiory. Rośliny wzeszłe gęsto w inspekcie przebierać i rozsadzać rzadziej, aby się dobrze zakorzeniły i nie wyciągły do światła.

Uważać, aby w inspektach była odpowiednia temperatura, a gdy się obniży, okładać inspekt końskim nawozem.

Inspekta dobrze przewietrzać, zwłaszcza w dni płe i słoneczne, gdyż to hartuje rośliny i zapobiega wielu chorobom.

Bydło, jeżeli chcemy mieć zdrowe, należy teraz parę razy wypędzać ze stajni.

Stajnie dobrze wietrzyć i gruntownie czyścić, gdyż nawet dobra i obfita karma nie ma tylego wpływu, co czystość bydła, świeże powietrze w stajni.

Koniom obsypywać owsa, aby nabrały sił do ciężkich robót wiosennych.

Kury, jeżeli chcemy, aby niosły, trzymać ciepło i obficie żywić.

Sadzić kwoki, aby wychodować wczesne kurczęta, które już wczesną jesienią będą niosły jaja.

Gęsi otoczyć opieką i usłać im gniazda w spokojnem przyciemnionem miejscu, a wysiadujące młode żywić łatwo strawnymi pokarmami.

Jak tylko śnieg zejdzie, przygotować grządki pod zasiew jarzyn jak kapusty, marchwi i pietruszki.

Należy pamiętać, iż zbliża się nowy okres i trudu i wytężonej pracy i trzeba ochotnie i raźno brać się do dzieła, aby wszystko na czas w oznaczonym terminie wykonać.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Lekarze przeciw dezynfekcji. Już od dłuższego czasu pewien odłam lekarzy zapatruje się sceptycznie na konieczność dezynfekcji lokalów, w których przebywali chorzy na choroby zaraźliwe. Lekarze ci zwracają uwagę, że większość zarodków chorób zaraźliwych, które mają być zwalczane w ten sposób, nie może się rozwijać, a nawet żyć poza żyjącym organizmem. Jako jedyna niemal choroba, przy której dezynfekcja lokalu jest potrzebna, to, zdaniem tych lekarzy, gruźlica, a właśnie przy tej chorobie nie stosuje się najczęściej dezynfekcji. W jednym z artykułów organu lekarzy francuskich, „Presse medicale“, zestawiono argumenty przeciwników dezynfekcji lokali, wykazujące, na podstawie danych statystycznych, zebranych w Nowym Jorku i Paryżu, że dezynfekcja lokali nie zdołała zmniejszyć liczby zachorowań w takich chorobach, jak szkarlatyna lub odra. Jako środki skuteczne, lekarze ci uznają raczej odosobnienie, dezynfekcję podczas choroby, szczepienia ochronne, stwierdzenie roznosiciela zarazy i uświadomienie ogółu.

Cierpienia serca w ogólności. Ogromnie skuteczną w cierpieniach serca jest herbata: korzenia baldrjanowego 5 łyżek, rozmarynu (liści) 5 łyżek; z tej mieszanki bierze się jedną łyżkę na małą filiżankę wrzącej wody, dając 6—8 minut naparzyć; pić dziennie kilka razy. Także picie wody cytrynowej ocukrzonej działa uspakająco. Również chłodne kompresy na serce, poziome ułożenie i głębokie oddychanie sprawia ulgę.

Bicie serca. Zupełnie zdrowy człowiek nie czuje swego serca wogóle, tak samo jak i swego żołądka, wątroby i swej śledziony lub swego trawienia. Niepokój i bicie serca są objawami cierpienia serca, które z czasem może rozwinąć się w ciężką i niebezpieczną chorobę. Leczenie: herbata z biedrzeńca, tataraku, anzeryny i mięty w równych częściach, dziennie dwie małe filiżanki, albo też dwa razy dziennie po 10 gramów kropli baldrjanowych. Na serce należy położyć ręcznik, zanurzony w zimnej wodzie, oraz robić gorąco-parowe kąpiele nożne.

KRONIKA.

Kto może posiadać broń palną. Ministerstwo spraw wewnętrznych poleciło, aby pozwolenia na posiadanie broni palnej, małokalibrowej, używanej do celów sportowych, jak również amunicji, były wydawane bez trudności, o ile starający się o broń dają dostateczną rękojmię, że nie użyją jej do celów niedozwolonych. Nieletnim pozwolenia mogą być wydawane tylko za poręczeniem lub na odpowiedzialność rodziców lub opiekunów. Wymieniona broń może być używana w zasadzie tylko do strzelania do tarczy. Używanie jej w innym celu i w inny sposób bez wypełnienia ogólnych warunków, dotyczących używania broni, nie jest dopuszczalne. Noszenie broni poza strzelnicą lub poza domem dozwolone jest tylko w futerale i nienabitej. Wyjątek stanowią zwarte oddziały przysposobienia wojskowego, prowadzone przez wojskowych lub dowódców, zatwierdzonych przez władze wojskowe.

Napad na pociąg. Na głównej linji kolejowej, łączącej Warszawę z Krakowem napady bandyckie w pociągach są na porządku dziennym. Jak donoszą, taki znowu napad zdarzył się na tej linji w nocy z ubiegłego wtorku na środę. Po wyjściu pociągu ze stacji Rozprza pod Piotrkowem, wskoczył do przedziału, w którym jechała z Warszawy do swej rodziny w Krakowie pani L., jakiś bandyta, rzucił się na samotną kobietę i począł ją dusić. Wywiązała się walka, w czasie której bandyta podrapał twarz pani L. i podbił jej oko. Napadnięta zdołała jednak krzyknąć, a na wszczęty alarm pasażerowie sąsiedniego przedziału pociągnęli za hamulec bezpieczeństwa. Bandyta, widząc, iż pociąg staje, chwycił ręczną torebkę pani L. (z pieniądzmi i dokumentami) i wyskoczył z pociągu. Gdy pociąg zatrzymano, zbiegła się służba konduktorska, spisano protokół, ale bandyta zniknął tymczasem w ciemnościach nocy. Poturbowaną panią L. przeprowadzono do innego przedziału, gdzie zaopiekował się nią p. W. Jarema, który odwiózł ją następnie do rodziny w Krakowie. Zuchwały ten napad bandycki powinien skłonić władze bezpieczeństwa w b. Kongresówce do energicznej akcji. Jest rzeczą niedopuszczalną, aby na tak ruchliwej przestrzeni kolejowej jak linja Warszawa-Kraków, pasażerowie nie byli pewni życia i mienia.

Opętana przez djabła. Dzienniki warszawskie podają opis senzacyjnego wypadku jaki zaszedł wśród ludności żydowskiej, mieszkającej w barakach na Annopolu w Warszawie. 35 letnia Feiga Damanowicz, mężatka, wedle opinji współwyznawców została opętana przez „Dybuka", t. j. złośliwego ducha zmarłego grzesznika. Pewnego razu znaleziono ją w czasie szalejącego huraganu leżącą bez przytomności na podłodze. Od tego czasu występowały u niej rozmaite anormalne objawy w postaci bólów pod paznogciami i swędzenia na całem ciele, ponadto rzucała się ona w konwulsjach, przyczem wprost wyła, targała na sobie bieliznę i wydawała nieartykułowane dźwięki. Po każdym takim napadzie pojawiały się na jej ciele krwawe stygmaty. Raz podczas takiego ataku przemówiła głosem zupełnie męskim, a choć słabo władała językiem polskim, powiedziała w doskonałej polszczyźnie te słowa: „Jestem tu i nie odejdę. Wy idźcie precz, ja z nią pozostanę, bo taka jest moja wola!"

Rodzina opętanej udała się o poradę do rabina cudotwórcy, specjalisty od odżegnywania duchów, który przystąpił w tych dniach do wypędzenia z Damanowiczowej dybuka. Ceremonja odbyła się w pokoju opętanej, w którym zasłonięto lustro czarną krepą, na oknach zawieszono ciężkie kapy, poczem po przybraniu Damanowiczowej przez męża w tałesy, 10 starców, ubranych w koszule śmiertelne i białe pończochy, zaintonowało hymn rozpaczy. Opętana dostała gwałtownego ataku furji i miotała się z taką siłą, że obaliła 5 mężczyzn na ziemię. Wreszcie cadyk, gdy atak furji minął częściowo, kazał przymocować do stopy opętanej kawałek blaszki aluminjowej i okręcić ją gałgankiem. Jednocześnie zapalono po obu stronach leżącej na podłodze Damanowiczównej, dwie świece. Po pewnym czasie opętana zawołała, że się dusi, wpiła sobie palce w gardło, a na szyji ukazały się silne nabrzmienia w postaci wolów. W tym momencie cadyk wśród zaklęć kazał Dybukowi wyjść z ciała opętanej nie gardłem, ale stopą przez blaszkę. Widocznie dybuk usłuchał rozkazu, bo wkrótce potem Damanowiczowa uspokoiła się, a na nodze, w okolicy uda wystąpiła krew. Ceremonja zakończyła się przekleństwem złego ducha: bądź przeklęty dybuku.

Czytając powyższy opis, zdaje się, że świat cofnął się gdzieś do średniowiecza.

Bitwa na wsi. Wieś Hutta, okręgu Ungwar, w Czechosłowacji była zeszłej niedzieli widownią krwawej bitwy mieszkańców, którzy od dłuższego czasu dzielą się na dwa wrogie obozy. Przy tanecznej zabawie pokłóciło się dwóch młodych parobków o względy pewnej dziewczyny. Kłótnia przerodziła się wkrótce w straszną bijatykę, w której wzięła udział prawie cała wieś.



Użyto w niej broni palnej, wideł i t. p. Dwóch ludzi zabito, 15 jest ciężko ranionych. Obawiają się, że krewni zabitych i poranionych przygotowują krwawy odwet. Żandarmerja została skonsygnowana na miejscu zaburzeń.

Czy człowiekowi potrzebne są ręce? „Czy człowiekowi potrzebne są ręce? — Czy można się w życiu bez rąk obejść?" Pytania takie wydają się napozór conajmniej dziwnemi, jeśli nie wręcz nierozsądnemi. Bo jakże — spyta każdy, — jakże można mieć co do tego jakiekolwiek wątpliwości? Oczywiście ręce są nam potrzebne. Bez rąk człowiek żyćby nie potrafił. A jednak, okazuje się, pogląd taki nie jest słuszny. Bo oto w Pradze czeskiej żyje człowiek, młody, energiczny Czech, p. Franciszek Filip, który urodził się bez rąk i pomimo swego kalectwa daje sobie w życiu radę, conajmniej tak dobrze, jak każdy normalny człowiek. Choć nie ma on i nigdy nie miał rąk, p. Filip z łatwością wykonuje wszystkie czynności, jednem słowem robi wszystko, co inni, normalni ludzie. A nawet robi on jeszcze więcej, bo przecież nie każdy umie kierować samochodem, nie każdy zajmuje się stolarstwem artystycznem, nie każdy wreszcie jest biegłym pisarzem na maszynie do pisania. Być może, że wszystko to, co tutaj mówimy, wyda się czytelnikowi fantastycznem, a jednak jest to najrealniejsza w świecie prawda.

Komunizm w szkołach litewskich. Z Kowna donoszą: Policja kryminalna podaje, iż w tych dniach w gimnazjum litewskiem w Wilkomierzu wykryto komunistyczną organizację uczniów. Członkami organizacji byli uczniowie klas wyższych. Dziesięciu młodocianych komunistów aresztowano. W wyniku zarządzonej rewizji ujawniono dużo literatury o treści wywrotowej. Dochodzenia jeszcze nie ukończono. Sprawa została przekazana prokuratorowi sądu okręgowego w Kownie.

Niezwykła historja. Niezwykła historja wydarzyła się onegdaj w Paryżu. Bohaterką tej historji jest papuga, która potrafiła zaalarmować policję i straż ogniową całej dzielnicy paryskiej. Późnym wieczorem do komisarjatu policji w Paryżu zgłosił się jeden z lokatorów domu przy ul. Jouffrey 72, blady i poruszony i oznajmił drżącym ze wzruszenia głosem:

— W naszej kamienicy popełniono zbrodnię. Na klatce schodowej słychać niesamowite jęki i rozpaczliwe krzyki: „Na pomoc! na pomoc! ach, umieram!“ — Przeszukałem całe schody, ale nikogo nie znalazłem, pomimo, że ten krzyk nie ustaje.

W komisarjacie zainteresowano się tą tajemniczą sprawą. Z wystraszonym lokatorem udało się na miejsce domniemanej zbrodni dwóch policjantów. I oni przeszukali skrzętnie klatkę schodową. Ale bez rezultatu. Policjanci starali się zachować jak najciszej. I oto rozległ się znów niesamowity głos:

— Na pomoc, na pomoc! ach umieram!

Wezwano posiłki z policji i straż ogniową, przed domem zebrały się tłumy ludzi, asystujące przy przygotowaniach straży pożarnej, która nie mogąc otworzyć drzwi czwartego piętra, przystawiła drabiny, aby się dostać przez okno do mieszkania Zdenerwowani policjanci z rewolwerami w ręku jeszcze raz rozpoczęli badanie schodów... gdy w tem nad głowami jednego z nich rozległ się ów rozdzierający krzyk. Policjant podniósł głowę. Na czwartem piętrze, na rurze gazowej siedziała śliczna papuga, która na widok obcych ludzi zaczęła znów przeraźliwie wrzeszczeć swoje: „Na pomoc! umieram!“ Z trudem udało się policjantom schwytać papugę. Zabrali ją do komisarjatu. Podczas „przesłuchów“ powtórzyła swoje: „Na pomoc!“ i nic innego nie można było z niej wydobyć. Zagadkowa sprawa wyjaśniła się dopiero nazajutrz. Po papugę zgłosiła się znana artystka dramatyczna, p. Lamant, przepraszając za kłopot, jaki uczyniła jej ulubienica, która uciekła z mieszkania na skutek nieuwagi służącej.

— Ale pani musi się znęcać nad nią — zauważył kwaśno komisarz — biedna krzyczy ciągle: „Na pomoc!“

Pani Lamant zaczęła się śmiać.

— To zdanie z mojej roli, której uczę się od kilku dni... krzyczałam je bardzo często i widać, moja Koko powtarza je, nie rozumiejąc co znaczy, zwyczajnie, jak papuga!... I powróciła Koko do swojej pani, po nocy spędzonej w komisarjacie, powróciła, by rozpocząć nowe próby uczenia się tragicznych ról...

Łabędź mordercą. Dzienniki londyńskie przynoszą następującą niezwykłą wiadomość: W miejscowości Hacknes koło Scarborough w Angjli był lord Derwent widzem następującej sceny: Tuż nad brzegiem dużego stawu, na którym pływał łabędź, pasła się owca. Nagle łabędź wyszedł na brzeg i rzucił się na owcę, która zaczęła się cofać i skutkiem tego stanęła w wodzie. Wtedy łabędź wzleciał na grzbiet owcy i dziobem zadawał jej razy w głowę. Oszołomiona owca kryła głowę w wodzie, gdy jej atoli brakowało oddechu, znowu ją wznosiła nad wodę, a wtedy spadały na czaszkę uderzenia dziobem. Wreszcie owca wyczerpana tem katowaniem, runęła do wody i utonęła. Jak się okazuje, łabędź, ulubieniec poetów, bywa czasem bardzo brutalny.

Walka z rozszalałym bykiem. W ubiegłym tygodniu stały się ulice Madrytu niespodziewanie widownią walki byków według najściślejszego regulaminu. Ze stada, prowadzonego na rzeź bydła wyrwał się byk potężnych rozmiarów, który pędząc przez główne ulice miasta, potratował szereg osób, przyczem dwie zostały ciężko ranne. Jakiegoś przechodnia byk dopadłszy uderzył swemi rogami i podrzucił w górę jak piłką.



Nareszcie na jednej z głównych ulic natknął się na rozszalałego byka znany zapaśnik Fortuno, który natychmiast wysłał swego szofera do mieszkania po szpadę, a sam tymczasem według wszelkich prawideł walki na arenie, powstrzymywał byka, wabiąc go czerwonem suknem w coraz to inną stronę. Wreszcie przybył szofer ze szpadą, a wówczas Fortuno jednem uderzeniem zadał bykowi śmiertelny cios. W tej chwili Fortuno stał się bohaterem dnia. Ludność obrzuciła go kwiatami. Na mocy nakazu władz, wszystkie biura i urzędy zostały zamknięte. Tłum urządził na poczekaniu wielką manifestację dla torreadora. Rząd nadał Fortunie medal zasługi na polu dobroczynności.

Tragedja skąpca. Od szeregu lat spotykano codziennie w pobliżu Via San Travasa w Wenecji człowieka w starszym już wieku, okrytego łachmanami. Często przysiadał gdzieś przy którymś z kościołów, to znów wlókł się po ogrodzie lub na targu owocowym, a gdy padał deszcz, chronił się w gospodzie. Mieszkał na czwartym piętrze w walącym się od starości domu. Sąsiedzi wiedzieli o tem, że cały dzień wałęsa się na mieście, a tylko na noc przychodzi do swojej izdebki. Niejedna z litościwych kobiet próbowała mu dać jałmużnę, lecz wtedy stawiał się ostro i wypraszał sobie to raz na zawsze. Od niejakiego czasu przestał wychodzić na ulicę. Zaniepokojeni sąsiedzi zapukali do jego izdebki. Nie chciał nikogo wpuścić. Dopiero po tygodniu któraś z sąsiadek znalazła przez okno wyrzucony list starego dziwaka, w którem to piśmie prosił, by ktoś przyszedł i zajął się nim, bo jest śmiertelnie chory. Sąsiadka udała się natychmiast na czwarte piętro i zapukała do izdebki. Drzwi nie były zamknięte. Weszła i oniemiała w progu. W izdebce panował zaduch nie do zniesienia. Śmiecia i brudu było tyle, jakby od lat całych nikt tu nie sprzątał. Na barłogu leżał stary dziwak. Przywołał ją i prosił, żeby mu podała ze schowka skrzyneczkę. Uczyniła, jak chciał. Uspokoił się, gdy skrzyneczkę poczuł w rękach.

— Nie mogę ruszyć nogami — rzekł. — Coś mi w nogi wlazło.

Okazało się, że ma ostre zapalenie żył i że grozi mu gangrena. Musiano przetransportować go do szpitala. Ani na chwilę nie chciał się rozstać ze swoją skrzynką. W szpitalu próbowano mu dowieść, że musi oddać

skrzynkę do depozytu. Zawołano kasjera szpitala, który oświadczył, że przy świadkach przeprowadzi inwentaryzację skrzynki. Jeśliby potem coś brakowało, zarząd szpitala i kasjer biorą za to odpowiedzialność. Zgodził się wreszcie na spisanie inwentarza. I oto nastąpiła niespodzianka. W skrzynce znajdowało się 320.000 lirów w papierach wartościowych, książeczka kasy oszczędności na 35.000 lirów, prócz tego dokumenty, z których wynikało, że ten tragiczny skąpiec jest właścicielem domu, w którym zajmował nędzną izdebkę. Teraz zastanawiają się władze w Wenecji, skąd pochodzić może ten wielki majątek. Ów tragiczny skąpiec pracował kiedyś za młodu jako robotnik w arsenale miejskim w Wenecji. Nazywa się Garagnin. Zapytany o tajemnicę tych skarbów, nie chciał dać wyjaśnienia. Starano się dowiedzieć, czy ma krewnych. Odpowiedział, że nic o nich wiedzieć nie chce. Musiano mu amputować obie nogi. Życie jego policzone jest tylko jeszcze na tygodnie, może na dnie. Majątek tragicznego skąpca przejdzie zapewne na własność państwa, o ile nie zgłoszą się krewni.

Wybuch wulkanu podmorskiego. Z Amsterdamu donoszą: Depesze radjowe, jakie nadeszły do pism holenderskich z wyspy Jawy, podają ciekawe wiadomości o wybuchu podmorskiego wulkanu koło wysepki Krakatao, leżącej między Jawą a Sumatrą i posiadającej 5 i pół klm. długości, a 1 klm. szerokości. Ekspedycja naukowa, wysłana na miejsce wybuchu na parowcu „Wega“, obserwuje zbliska czynność wulkanu i doniosła, że akcja wulkanu potęguje się z godziny na godzinę. Z morza wybuchają olbrzymie słupy płomienne lawy, popiołu i kamieni z przerażającym sykiem i przy akompanjamencie grzmotów podwodnych. Olbrzymie masy spalonych kamieni spadają do morza na podobieństwo deszczu. Woda gotuje się i paruje bez przerwy. W sobotę około 8·30 rano masy kamieni były wyrzucane na wysokość 1.200 m. ponad powierzchnię morza, a w czasie między godziną 8 a 12 nastąpiło 300 wybuchów. Rozpalona lawa rozlewa się na przestrzeni 250 metrów. Przez całą sobotę i niedzielę czynność wulkanu podwodnego wzmagała się nieustannie. Gorąco, bijące od wulkanu daje się odczuwać na odległość kilku kilometrów. Obszar promieniowania zwiększa sią coraz bardziej, tak, że uczeni mają wrażenie, iż krater wulkanu podnosi się i zbliża do powierzchni morza. Ludność, zamieszkująca okoliczne wyspy, żyje w trwodze. Urządzono specjalne statki radjowe, aby na wypadek niebezpieczeństwa ostrzec na czas mieszkańców i umożliwić im ucieczkę z zagrożonych miejsc. Narazie jednak niebezpieczeństwa bezpośredniego niema.

Zagłada plemienia indyjskiego. Z Santjago de Chile donoszą, iż w sposób tragiczny wyginął tam szczep indyjski, nazywający się Canzi. Indjanie ci trudnili się wyłącznie rybołóstwem i pędzili życie w barkach na wodzie. Mieszkania Indjan odznaczały się wygodą, czystością i pewnym nawet komfortem, wskazującym na artystyczne zamiłowanie szczepu. W czasie straszliwej burzy w dniu 26 grudnia wpadły barki indyjskie na skały i uległy zupełnemu zniszczeniu. Nie ocalała ani jedna dusza i całe plemie, złożone ze 180 osób, wyginęło doszczętnie.

Listy państwowe

Do dnia 24 stycznia b. r., w którym-to dniu upłynął ostateczny termin zgłaszania państwowych list wyborczych do Sejmu i Senatu, złożone zostały następujące listy do sejmu:

1) Bezpartyjny blok współpracy z rządem, 2) Polska Partja Socjalistyczna (PPS), 3) P. S. L. Wyzwolenie, 4) Ogólno-żydowski związek robotniczy Bund w Polsce, 5) Żydowsko-robotniczy komitet wyborczy Poale Sjon, 6) Ukraiński Narodny Sojuz, 7) Narodowa Partja Robotnicza, 8) Ukraińskie selansko-robitnycze socjalistyczne objednania Selrob, 10) Stronnictwo chłopskie, 11) Monarchistyczna organizacja wszechstanowa M. O .W., 12) Chłopskie stronnictwo radykalne (ks. Okonia), 13) Jedność robotniczo-chłopska (komuniści), 14) Związek chłopski (grupa Stapińskiego), 15) Polskie stronnictwo katolicko-ludowe, 16) Główny komitet wyborczy P. P. S. lewicy (komuniści), 17) Zjednoczenie narodowo-żydowskie w Małopolsce, 18) Blok mniejszości narodowych w Polsce, 19) Jednist Selrobu, 20) Lista ruska, 21) Narodowo-państwowy blok pracy, 22) Wyborczy blok ukraińskich socjalistycznych selanskich robotnyczych partyj, 23) Związek siły chłopskiej, 24) Lista katolicko-narodowa (narodowa demokracja), 25) Polski blok katolicki Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast“ i Ch. dem., 26) Ukraińska partja pracy, 27) Poale Sjon (Zjednoczenie z C. S. P.), 28) Ukraiński wyborczyj blok Selan robitnykiw i pracujaczui inteligencji za zemlu i wolu, 29) Komitet wyborczy inwalidów i zdemobilizowanych wojskowych, 30) Katolicka unja ziem zachodnich, 31) Sjonistyczno-demokratyczny blok pracy, 32) Zjednoczenie lewicy polskiej Samopomoc, 33) Ogólno-żydowsko-narodowy blok wyborczy do Sejmu i Senatu, 34) Niezależna socjalistyczna partja pracy.

Jak z powyższego zestawienia widać, do walki wyborczej staje 33 partyj, gdyż numeru 9 żadna lista nie otrzymała, aby nie było pomyłki z numerem 6. Do sentu zgłoszono list 21; brak tu numerów 4, 5, 15, 16, 19, 23, 26, 27, 29, 31 i 32, gdyż stronnictwa, zgłaszające pod powyższymi numerami listy do sejmu, są tak słabe, iż zgóry wiedzą, że nie przeprowadziłyby żadnego kandydata do senatu.

Jak można przypuszczać, najwięcej głosów skupi na sobie lista Nr 1, bo padną na nią głosy tych wszystkich, którzy pragną, aby Marszałek Piłsudski stał dalej na czele. Lista Nr 2 skupi na sobie znaczną ilość robotników miejskich, nr 3 ma duże wpływy w b. Kongresówce, nr 7 wśród robotników w Poznańskiem. Jako nowe stronnictwo zgłosili listę (Nr 11) monarchiści i mają nadzieję przeprowadzić kilku kandydatów. Nr 24 otrzymali narodowi demokraci czyli tak zwani endecy, którzy w poprzednim sejmie mieli najwięcej posłów, a między nimi byli bracia Grabscy, Zdziechowski, Kucharski i inni, przeciw którym wystąpił Marszałek Piłsudski w maju 1926 r. Nr 25 otrzymała lista połączonych stronnictw chrześcijańskiej demokracji i „Piasta“. Stronnictwa te przeprowadzą swych posłów w tych okręgach, gdzie nie stracił jeszcze swych wpływów poseł Witos. Najzaciętszą zdaje się walkę stoczy blok ten w okręgu tarnowskim, gdzie prócz bloku rządowego, występuje stronnictwo katolicko-ludowe pod wodzą ks. Czuja i p. Matakiewicza (Nr 15), oraz socjaliści. Większą ilość mandatów może też zdobyć lista Nr 18 (blok mniejszości narodowych), na którą padną głosy wszystkich wrogów Polski.

Oprócz list państwowych będą także listy okręgowe, które będą miały te same numera, co listy państwowe, a nadto niemal w każdym okręgu znajdzie się pewna liczba mąciwodów, którzy zgłoszą własne listy okręgowe.

RZECZY CIEKAWE.

Największe djamenty na świecie.

Wśród wielkiej liczby djamentów, stanowiących najpiękniejszą ozdobę pań naszych, mało jest kamieni, które wyróżniają się wielkością i dzięki temu posiadają nieobliczalną wartość. Poniżej podajemy zestawienie niewielu największych djamentów na świecie:

„Orłowa“ (195 karatów), znajdujący się na czubku berła rosyjskiego zakupiła korona rosyjska w roku 1794 za rentę dożywotnią w wysokości 4.000 rubli, 450.000 rubli w gotówce i dyplom szlachecki. Ogromny błyszczący kamień wyrwano z oka bożka indyjskiego, Bramy.

„Szach“ (86 karatów) był również w posiadaniu rodziny carskiej. Powstałe przez szlifowanie płaszczyzny pokryte były napisami perskiemi.

„Florentyńczyk“, czyli „Toskańczyk“, zagubiony przez Karola Odważnego w bitwie pod Granson, znajduje się obecnie w posiadaniu skarbu austrjackiego. Wartość kamienia, który jest niezwykle czysty i posiada odcień winno-żółty, ocenia się na 100 miljonów złotych.

Do brytyjskiego skarbca koronnego należy słynny „Kohinoor“, który powstał przez przeszlifowanie znacznie większego „Wielkiego Moguła“. Waga „Kohinoora“ wynosi obecnie „tylko“ 106 karatów.

Największy djament brazylijski „Gwiazda Południa“ ważył pierwotnie 254 karatów. Obecnie, przerobiony na brylant waży tylko jeszcze 125.

„Regent“, wagi 136 i wartości ponad 15 miljonów franków, jest w posiadaniu Luwru.

Znaleziony pod Jagersfontein w kraju Oranje „Exelcior“ waży 971 karatów.

Największego z wielkich „Cullinana“, znalezionego krótko po wojnie burskiej, ofiarowali zwyciężeni Burowie koronie angielskiej jako symbol zgody. O wadze jego nie posiadamy dokładnych danych. W każdym razie przewyższa kilkakrotnie „Kohinoora“, a liczba karatów sięga tysięcy.

Osobliwe nazwy geograficzne.

Jeden z miesięczników belgijskich wymienia nazwy miejscowości, ustanawiające rekord bądź w sensie długości, bądź też zwięzłości. Do pierwszej kategorji zaliczone są pomiędzy innemi: Bayemghenles-Eperleques we Francji (dep. Pas-de-Calais), oraz Lacavry-Arban-Tharritede-Haut, również we Francji (dep. Basses-Pyrénées). Maksymalnie lakoniczne nazwy posiadają miejscowości: O w departamencie Orne (Francja), Y w departamencie Somme (Francja), oraz U w dalekich Chinach.

Lud, który umie liczyć tylko do trzech.

Narody kulturalne korzystają z wygodnego sposobu, aby zapomocą 10 znaków cyfrowych określić wszystkie liczby od najmniejszych do największych. Istnieją jednak ludzie, którzy pod tym względem mają znacznie mniejsze wymagania. W środkowej Australji i południowej Ameryce natrafić można na ludy, którym na określenie liczby większej od 6 brak odpowiedniego wyrażenia. Jeden z podróżników opowiada, że Indjanie Bakari nad Amazonką, gdy określić mają liczbę większą od 6, to chwytają się za włosy, aby zaznaczyć, że liczba jest dla nich nieobliczalna.

Jeszcze mniej wymagający są Botokudzi na południu Ameryki. Skromni ci ludkowie odróżniają tylko jedno od wielu. Już liczbę dwóch i trzech określają tem samem słowem, czyli dosłownie, że umieją liczyć tylko do trzech.

Koronacja mikada japońskiego.

Cesarz japoński, Hirohito, małżonka jego i cały dwór ceesarski zebrali się przed kilku dniami, ubrani w najkosztowniejsze szaty z brokatu i jedwabiu, na „placu czci“ pałacu cesarskiego w Tokio, aby przodków rodu cesarskiego uroczyczyście zawiadomić o terminie koronacji cesarza w dawniejszej stolicy państwa Kyoto, w dniu 10 listopada ub. r.

Mikado Hirohito, 123-ci cesarz Japonji, wstąpił na tron ojców 25 grudnia 1926 r. Według tradycyj narodowych 12 miesięcy przetrwać musiał w żałobie. Uroczysta zapowiedź na „placu czci“ jest pierwszą z licznych ceremonij, poprzedzających właściwą koronację. Z insygniami koronnemi, w które ubrany będzie młody władca, związane są liczne przypowieści. Między insygniami znajduje się boski miecz, stworzony przez syna bogini słońca z ogonu smoka, dalej boskie klejnoty, zrobione przez bogów z pyłu gwiazdzistego i zesłane wprost z nieba władcom japońskim.

W związku z pierwszą ceremonją kosztownie ubrani posłowie udadzą się do wszystkich grobów zmarłych mikadów, aby ogłosić datę koronacji.

Dzieje perfum.

Ogólnie twierdzą, że perfumy poczęto wyrabiać poraz pierwszy we Francji. Okazuje się jednak, że były one znane jeszcze w czasach starożytnych. Już na 1600 lat przed nar. Chr. królowa Egiptu Hatsena posłała sługi do kraju Pontu, skąd przywieziono jej między innemi trzydzieści drzew do wyrobu pachnideł. Pismo święte podaje, że Judyta, gdy szukała Holofernosa, namaściła się tak bardzo wonnościami, że już więcej jej skóra przyjąć nie mogła. Perfumy cieszyły się również wzięciem i u Greków; nadużywano ich zresztą do tego stopnia, że Solon, prawodawca Sparty, wydał zakaz sprzedawania wonnych olejków. Także i Rzymianie byli wielkimi miłośnikami perfum, używając ich nawet w kąpieli. W czasach średniowiecznych perfumami maskowano trucizny. W owym czasie znano już nawet pachnące naszyjniki, rękawiczki i książki. Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek kobiety lubią otaczać się atmosferą wytwórczości; fabrykanci dokładają przeto wszelkich starań, by wyszukiwać coraz to nowe wonie.

Zegarek w mózgu człowieka.

Spotykamy nieraz ludzi, którzy zapytani o godzinę, orjentują się zupełnie dobrze w czasie, nie patrząc na zegarek.

Ta świadomość czasu nie zawodzi ich nawet w czasie snu. Jeśli taki człowiek postanowi np. wstać jutro o godzinie 5 rano, to napewno zerwie się on w tym czasie, jakgdyby zbudzony budzikiem.

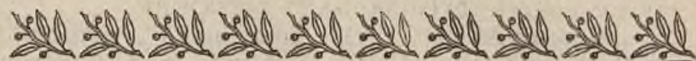
Ostatniemi czasy instytut psychologiczny w Genewie zajmuje się poważnie tym ciekawym objawem podświadomości. W tym celu zbadano około sto osób, z których odrazu wyeliminowano 40 jako nienadających się do badań. Z pozostałych zaś 60, osiem wykazało niezwykłą zdolność odgadywania czasu. Mogły one na żądanie komisji budzić się o oznaczonym czasie, mimo to, że w pokoju umieszczono budziki, które ich fałszywie informowały o czasie.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Kazimierz Barnaś** w K.: W nadesłanym nam wierszu znać łatwość rymowania, a i porównania dobre. W miarę miejsca zamieścimy. — **Piotr Wenc** w S.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Jakób Momot** w B.: Nadesłane pismo jest osobistą zaczepką, a takich rzeczy bezwarunkowo nie zamieszczamy. Jak z dopisku Pańskiego widać, pan ten został już dostatecznie ukarany. — **Izydor Wilk** w Z.: Nadesłany nam wierszyk ma pewne braki, ale myśl ładną. Niech Pan czyta dużo poezji, to i w Pańskich utworach forma się udoskonali. — **Władysław Bulek:** Zastosujemy się do życzenia. — **Wincenty Kuglin** w K.: Myśli dobre. — **D. Lesiowski** w W.: Otrzymaliśmy, będziemy się starali zamieścić jak najrychlej. — **Legin** w L.: Obydwa utwory są rzeczywiście ciekawe, więc je chętnie wydrukujemy. — **Antoni Szymański** w H.: W humoresce zbyt mało humoru. Wierszyk, choć poprawny, nie nadaje się do druku, gdyż brak w nim prawdziwego polotu poetyckiego. — **Anna Śleziak** w W. G.: Że Pani ma „Rolę" zapłaconą za I. kwartał, to najlepszy dowód, że przychodzi. Na kwartał drugi prenumerata nadeszła — dziękujemy. — **M. Stosówna** w W. D.: W wiadomej sprawie prosimy przybyć do nas. — **Fr. Urbańczyk** w Cz.: Prenumerata nadeszła. Jest teraz zapłacona na trzy kwartały. Cześć! **Władysław Dziuban** w Rz.: O ile los Panu poszczęści, to i książka będzie. My z góry nie możemy obiecanki robić. Cześć! — **Wincenty Stach** z K.: Prenumeratę mamy zapisaną tylko 6 zł. nie 9. Żądane książki wysłaliśmy. W zyskiwaniu prenumeratorów dla „Roli" naczelnicy gmin mogliby dużo zdziałać, ale niestety, na tem polu żaden jeszcze się nie zaznaczył. W sprawie tej samotności Pańskiej „Rola" może zapośredniczyć, lekarstwo się znajdzie. Czy tylko Pan ma dobre a nieprzymuszone postanowienie dźwigać jarzmo małżeńskie? — **Jan Pelczar** w W. S.: Otrzymaliśmy, w najbliższej przyszłości zamieścimy. — **Juljan Kwolek** w R.: Wierszyk bardzo miły, więc go umieścimy. Pożyczka austrajcka przepadła, co do polskiej, to musielibyśmy wiedzieć, co to było. — **Stanisław Kwolek** w R.: Wierszyk jeszcze nie do druku. — **E. Wysłychówna** w L.: Szarady dobre. — **Nuśka Steuerówna** w K.: Ma Pani rację, ale niezupełną, gdyż Pani rzecz osądza jednostronnie. Wierzę, że Pani tak myśli i czuje. Ale inni? Proszę, nie tańcząc, obserwować tańczące pary, a przyzna na mPani choć w części słuszność. — **Wincenty Kuglin** w K.: Owszem otrzymaliśmy i jedno i drugie. Opłata listu kosztuje 25 groszy. — **Kazimierz Barnaś** w K.: „Wesele" otrzymaliśmy — zamieścimy.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·86—8·90	Korony czeskie	26·41—26·35
Funty szterl. . .	43·53—43·64	Franki szwajc.	172·20—172·78
Franki francuskie	35·03—34·94	Liry włoskie .	48·33—48·50



Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.



Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożył A, Lichorowicz plut.).

11 12 13 14 6 15 **16**
7 8 9 10 **3**
3 **4** 6 **8** 5
2 **1** 3
1 **15** 17 **18** 8
3 19 20 3 **21**
4 18 11 18 8 20 **1**
13 17 8 3 17 7 19 18 **20**
20 3 19 22 3 8 6 12 1 20 **7**

W miejsce liczb wstawić odpowiednie litery, które dadzą słowa o podanem znaczeniu.

Litery oznaczone tłustym drukiem dadzą nazwisko i tytuł jednego z mężów polskich.

1) Podniesione uczucie religijne. 2) Skóra, rodzaj zamszu. 3) Kawał lodu (wspak). 4) Owad. 5) Powróz. 6) Sędzia (wójt) arabski 7) Waga aptekarska (wspak). 8) Inaczej kucharskie (wspak). 9) Nazwa powiatu.

2. Szarady.

(Ułożył plut. Lichorowicz A.).

I.

Pierwsza i trzecia powóz maleńkich rozmiarów
A nazwa jego wzięta od madziarów
Jeżeli duży — to w tureckiej mowie
Oddział tatarów zwali nasi praojcowie.
Druga i trzecia — nazwa tańca znana,
Z warunkiem że zdrobniale będzie wymawiana
Pierwsza i druga nazwa rzemieślnika
Nazwa jego znana jest dla czytelnika.
Całość to nazwisko w „Roli" dobrze znane
I w każdym numerze stale powtarzane.

II.

(Ułożył H. Biłka Głębicki).

Część drugiego i trzecie,
Na własnej głowie znajdziecie,
Pierwsze i drugie niecałe,
W człowieku duże i małe,
Z takich, polskich, słynął cały,
Którego się Mochy bały.

III.

(Ułożył H. Biłka Głębicki).

Cicho, pierwsza! słuchajcie!
Sami drugiej trzeciej dajcie,
By odgadnąć wszystkie z „Roli",
Ale uważnie, — powoli!

IV.

Jak ci źle samemu to drugie się
Bo w towarzystwie lepsze życie, —
Zawrzyj całość, ale potem nie pierwsze wspak
Przyrzeczenia, bo nie jesteś żak.
Kto zastosuje rady moje,
To niech trzecie bez „w" lat żyje!

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

I.

Wprost zdobywa wojsko szaniec,
Wspak boi się go skazaniec.

II.

Wprost, gdzie każdy okręt zmierza,
Wspak zaś znak gdzie szukać zwierza.

III.

Wprost to zwierz domowy
Zaś wspak polowanie.
Choć sam nie poluje
Czasem chodzi na nie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 4 „Roli": 1. Logogryf: Juljusz Kossak — Artur Grottger. 2. Szarady: Buraki, pokora, komunikaty. 3. Układanki: Nowak, obora, worek, arena, kakao. 4. Bilety wizytowe: Dyktator, prezydent, marszałek, minister, senator, wojewoda, konsul, poseł, starosta, burmistrz.

Dobre rozwiązania zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Tadeusz Kryniger z P., Władysław Gawłowicz z B., Józef Topolski z B., Antoni Było z M., Wawrzyniec Rzepka z O., Władysław Bulek, Stanisław Perkowski z K., Olga Klasztorna z K., Jan Patulski z O., Marja Mlekodajowa z R., „Yoga" z K., Tadeusz Sarnowicz z T., Jan Rosiński z K., Piotr Wenc z S., Jan Czader z S. W., Henryk Biłka-Głębicki z S., Feliks Popielarczyk z W. D., Gabrjel Wirstnik z Sz., Stefan Dziadkowiec z K., St. Heski z K., Karolina Komorek z K. ,Aleksander Gwóźdź z L., Józef Kubik z K., Rudolf Kula z K. M., Florjan Ciebiera z Rz. i Wł. Marko z K.

Nagrody wylosowali pp.: Marja Mlekodajowa z R. i Stanisław Perkowski z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nowoczesna żona.

— Co wolałabyś na Gwiazdkę: rozwód, czy samochód?

— Jedno i drugie, Władku.



Na lekcji geografji.

— Powiedz chłopcze, czy np. ojciec twój mógłby obejść pieszo dookoła ziemię?

— Nie, panie profesorze.

— A dlaczego?

— Wczoraj złamał nogę...



Nauka w małżeństwie.

— Od kiedy jesteś żonaty, nie brak ci nigdy guzika przy ubraniu.

— O tak, żona z samego zaraz początku nauczyła mnie przyszywać guziki.

Gra w karty.

— Janku nie możemy pobrać się. Wyobraź sobie mój ojciec — jak ostatni łotr — przegrał wczoraj cały mój majątek.

— Nic nie szkodzi, pobierzemy się, bo to właśnie ja wygrałem.



Ten się poprawił.

Dyrektor więzienia (do wypuszczonego na wolność):

— Mam nadzieję, że się już nie spotkamy!

— Pan dyrektor został, widzę, przeniesiony gdzieindziej?



Postępowi włamywacze.

— Antek — mówi włamywacz do swego kolegi, kiedy oddalili się już dostatecznie od okradzionej willi — przystaniemy i zobaczymy, cośmy zabrali.

— Ani mi się śni. Jestem zmęczony, jutro i tak znajdziemy w gazetach dokładny spis naszego łupu.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 31 stycznia b. r.

Pszenica .	51·50—52·00	Słoma długa	7·50—8·00
Żyto . .	43·50—44·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—39·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	28·50—29·50
Fasola biała	00·00 - 00·00	Mąka żytnia	60·00—62·00
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	81·50—82·00
Siano słodk.	11·00 - 12·00	Otręby pszen.	28·50—29·50
Konicz pastew.	16·00—17·00	Mąka czerw.	32·50—33·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Kalendarze już wyczerpane.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.